№ 32. Warszawa, dnia 30 Lipca (11 Sierpnia) 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

II.

Sebastyan Fabian Klonowicz.

Drogi i zawady przystępne dla nieszlachty w dawnej Polsce. Życiorys Klonowicza. Wpływy zewnętrzne na twórczość poetycką Klonowicza: swojskość i satyryczność jego poezyi. Ogólne zalety i wady utworów Klonowicza. Rozbiór poematu Flis. Rozbiór Worka Judaszowego. Roxolania. Victoria Deorum. (Zwycięztwo Bogów). Pomniejsze i podrzędne utwory polskie i łacińskie Klonowicza.

Kto nie był szlachcicem, dla tego zamknięte były i nieprzystępne wojs owość, urzędy i obrady publiczne, ale szkoła i kościół stały dla wszystkich otworem. Byleby więc chęć i możność, mieszczanie, a nawet kmiotkowie mogli posiąść najwyższą naukę, mogli w powołaniu kapłańskiem dostąpić najwyższych godności. Liczne też podobne przykłady przedstawiają nam dzieje i to nietylko w czasach dawniejszych, gdy wyłączność szlachecka nie była jeszcze tak górującą, ale i w epoce najwyższego rozkwitu szlachty i rzeczypospolitej szlacheckiej — w XV i XVI wieku. Tak np. Św. Wincenty Kadłubek, biskup krakowski, nie był szlachcicem, podobnież Kopernik, historyk i biskup warmiński Kromer, kardynał Hozyusz (który nawet o mało że nie został papieżem), uwieńczony w Rzymie poeta łaciński Klemens Janicki (syn włościanina), znany pisarz Erazm Gliczner i mnóstwo innych. Pomiędzy mistrzami akademii krakowskiej wielu było pochodzenia nieszlacheckiego (jak to wskazują czasem nawet same nazwiska np. Gomółka), a pomiędzy mnóstwem studentów, czyli jak ich wtedy nazywano „żaków,“ którzy częstokroć będąc już pod wąsem, a czasem i przypruszeni siwizną, zdobywali wiedzę o głodzie i chłodzie, z niepojętym prawie dla nas zapałem i żelazną wytrwałością, wędrując o kiju żebraczym do Krakowa i akademii zagranicznych — do Padwy Paryża i t. d. niewątpliwie było mnóstwo synów włościańskich i mieszczan. Tylko smutne położenie ekonomiczne włościan i stanu mieszczańskiego, zresztą nielicznego i który z konieczności musiał przeważnie trudnić się kupiectwem i handlem, sprawiało, że niższe warstwy ludu nie korzystały w szerokich rozmiarach z nawskroś demokratycznych ustaw kościoła i rzeczypospolitej naukowej: niezawsze znajdowali się wspaniałomyślni mecenasi jak Lubrański dla Janickiego. Toga i biret profesora akademii nadawały już niejako szlachectwo i akademia krakowska nie znała pod tym względem ograniczeń; trudniej było nieszlachcie wznieść się na wyższe szczeble hierarchii kościelnej, bo już nawet i wtedy, gdy oświata najwięcej przenikała do warstw niższych, to jest w wieku XVI, możne rody szlacheckie, jeżeli nie z prawa (de jure), to w rzeczywistości (de facto) przywłaszczyły sobie, jako monopol, i katedry biskupie, tak że już później na stolicach biskupich widzimy prawie wyłącznie członków tych samych familii, które piastowały buławy hetmańskie, województwa i kasztelanie.

Do szeregu mężów głośnych, którzy nie byli szlachtą, należał także Sebastyan Fabian Klonowicz, jeden z najgodniejszych uwagi poetów polskich, a zarazem mąż niepospolitej nauki.

Klonowicz który także, ulegając modzie ówczesnej, przetłomaczył swoje nazwisko na łacinę i pisał się Acernus (co po łacinie znaczy „klonowy“), urodził się w 1551 roku w Sulmierzycach, miasteczku wielkopolskiem w powiecie odolanowskim, na granicy Szlązka; ojciec jego był tam wójtem, czy też burmistrzem. Nie otrzymawszy żadnego dziedzictwa po rodzicach, Klonowicz opuścił za młodu miasteczko rodzinne i już do niego nie wrócił. Kształcił się w akademii krakowskiej; potem podobno przebywał czas jakiś we Lwowie, a od r. 1584 zostawszy mieszczaninem lubelskim, był dwukrotnie burmistrzem Lublina, następnie zaś rajcą i sędzią do spraw żydowskich. Później wszedł w stosunki z Wereszczyńskim, biskupem kijowskim i z klasztorem benedyktynów sieciechowskich, od których podobno miał daną sobie w posiadanie wioskę w radomskiem, zkąd, jak niektórzy przypuszczają, jeździł dwukrotnie ze zbożem do Gdańska. Klonowicz, mąż prawy i wielkiej nauki, lubił słowem i piórem wypowiadać gorzką prawdę, zwłaszcza duchowieństwu i szlachcie, od której, jako nieszlachcic, doznawał pogardy. Szczególniej występował ostro przeciwko wszechwładnym za króla Zygmunta III jezuitom: jego to pióra miał być wydany 1600 r. bezimiennie po polsku i po łacinie: „Konterfekt jezuitów“ w którym dowodzi, że jezuici zabili w Polsce oświatę i pomyślność. Z tych powodów doznawał różnych przykrości: dzieła jego bywały zakazywane i ręką kata palone, a sam zaledwie uniknął wygnania. Był jednak Klonowicz katolikiem, nie zaś protestantem, jak sądzą niektórzy, widać to bowiem i z pism jego i ze stosunków z duchowieństwem, których w owych czasach nie mógłby mieć desydent. Wszelako jest prawdą, że okazywał sympatyą dla desydentów i wszyscy, którym swe pisma dedykował, nie byli katolikami (Stanisław Gostomski, ks. Janusz Ostrogski, Adam Gorajski, Piotr i Paweł Czerni i t. d.) Żonę miał Klonowicz rozrzutną, zgryźliwą i złych obyczajów — tak więc i pod tym względem życie nie upływało mu mile. W końcu doprowadzony przez nią do nędzy, zmarł 1608 r. w szpitalu lubelskim, zostającym pod zarządem jezuitów, którzy skłonili go do wyrzeczenia się przed śmiercią nieprzychylnych na ten zakon poglądów.

Klonowicz, podobnie jak Kochanowski i inni poeci owego okresu, pisał zarówno po polsku jak i po łacinie. W owej epoce wskrzeszonego zapału dla li-

teratury starożytnej, gdy język łaciński, wszechwładny w kościele, w nauce, w dyplomacyi i administracyi, był europejskim i modnym, niektórzy polacy, jak wiadomo, posługiwali się wyłącznie tym językiem, zaniedbując własnego jak np. między poetami Dantyszek, Krzycki, Janicki, Sarbiewski i wielu innych. Ztąd niektórzy z nich, długo obcy literaturze polskiej i w jej historyi pomijani, potrzebowali tłómaczów, którzyby dali poznać ich utwory późniejszym pokoleniom rodaków (utwory wielu poetów polsko-łacińskich przełożył Wł. Syrokomla i wydał w 6 tomikach w Wilnie 1851—1852).

Klonowicz, syn stanu nieuprzywilejowanego, zbyt ścisłemi węzły był połączony z ziemią rodzinną, ażeby mógł zupełnie zarzucić jej język w swych utworach i w tem pierwsza i ważna jego zasługa.

Według teoryi niektórych badaczów spółczesnych (np. Taina) natura i cechy geniuszu lub talentu, dążność i treść ich utworów — jednem słowem cała treść działalności literackiej lub artystycznej — jest wyłącznym wynikiem wpływów wychowania, stosunków spółczesnych i innych czynników zewnętrznych. Niepodobna w zupełności zgodzić się na ten pogląd, gdyż zaprzecza on niemal całkowicie niezależnemu od czasu i przestrzeni natchnieniu, niweczy wrodzone uzdolnienie, wewnętrzne popędy duchowe i wewnętrzną swobodę. Nauki filozoficzne, historya i doświadczenie codzienne świadczą dobitnie przeciwko przypuszczeniu takiej bierności duchowej. Wszelako, trzymając się zdala od jednostronnej krańcowości tego poglądu, trudno nie zgodzić się, że istotnie wpływy zewnętrzne wywierają działanie potężne i jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w części nadają niewątpliwie kierunek działalności literackiej i artystycznej znakomitych ludzi. Przytem jest rzeczą zupełnie naturalną, że im geniusz lub talent będzie potężniejszym, tem samodzielniejszym się okaże, im będzie silniejszym, tem będzie swobodniejszym, wyzwalającym się z większą łatwością z pod wpływów zewnętrznych, mało zgodnych z dążeniami potężnego ducha lub całkowicie im sprzecznych. Niewątpliwym dowodem tego pewnika jest ta okoliczność, że wielkich i genialnych ludzi wydaje czasem epoka upadku i otoczenie; w którym przeważają wpływy ujemne, jak to widzimy w dziejach najnowszej naszej poezyi i literatury. Klonowicz nie był geniuszem, a więc nie przerósł głową swego wieku, nie wzniósł się całkowicie po nad wpływy swego otoczenia i położenia społecznego; te więc ostatnie czynniki zewnętrzne wywarły znaczny wpływ na treść, dążność i ducha jego poezyi.

Dwie mianowicie cechy główne dostrzegamy w utworach Klonowicza: pierwszą jest przewaga swojskości — żywiołów czysto krajowych i narodowych, nawet pod szatą mowy obcej w utworach łacińskich, nawet pod balastem mytologicznej erudycyi; drugą cechą jest przeważająca gorycz i kierunek satyryczny. Pod temi obu względami wpływ otoczenia Klonowicza istotnie jest znacznym. W owym wieku XVI, do którego należy większa część życia poety, majętni magnaci polscy i szlachta, celujący polorem i nauką narówni z wyższemi klasami krajów europejskich najbardziej cywilizowanych, częstokroć stawali się kosmopolitami, a pędząc życie w ciągłych podróżach i w stosunkach z krajami ościennemi, mało mieli nie powiem przywiązania do ziemi rodzinnej (gdyż ten zarzut byłby niesłusznym), ale znajomości swego kraju w jego prawdziwym stanie, mniej czuli się, że tak powiemy, zrośniętymi z ojczyzną i do ziemi rodzinnej wkorzenionymi. Tak w literaturze, a szczególniej w poezyi, w Sarbiewskim i Krzyckim nie znać prawie polaków, a lud i kraj rodzinny, o których ci i inni poeci wspominają, wyglądają nieprawdziwie, bo przez pryzmat erudycyjno szkolny oglądane, zblizka należycie niepoznane. Co innego w utworach synów ludu, tysiącznemi węzłami mocniej do ziemi przywiązanych, znających ją dokładniej w rzeczywistej jej postaci, z całą jej biedą i troskami, ze wszystkiemi stronami ujemnemi i smutnemi, z całą prawdą życiową. Takim też właśnie widnieje kraj rodzinny w wielu ustępach poezyi Klonowicza. Podrugie, co się tyczy uczucia goryczy i kierunku satyrycznego, naturalną jest rzeczą że skłonnym był do nich mąż wielkiej nauki i wartości, zmuszony znosić wszelkie upokorzenia i poprzestawać na stanowisku podrzędnem i pogardzanem, jedynie z powodu nienależenia do uprzywilejowanego stanu szlacheckiego. Poeta włościanin lub mieszczanin, któremu powiodło się oświecić swój umysł i wznieść się na wyżyny wykształcenia humanitarnego, tem żywiej i dotkliwiej czuł upośledzenie własne i braci i ztąd był skłonnym do ostrych wystąpień satyrycznych, przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy, ktore owo upośledzenie uprawniał, przeciwko wyłącznemu panowaniu klas uprzywilejowanych (szlachty i duchowieństwa), przeciwko wadom i nadużyciom tych klas panujących, wreszcie przeciwko ich przesądom, od których sam był wolnym. Wszystkie te cechy i kierunki znajdujemy właśnie w poezyi Klonowicza i to w stopniu wcale nie najniższym.

Tak więc Klonowicz jest poetą narodowym, obrońcą upośledzonych klas ludności, przeciwnikiem i satyrykiem szlachty: oto krótka jego charakterystyka, która zarazem czyni go jednym z najgodniejszych uwagi poetów polskich. Dodajmy do tego zadziwiającą erudycyą we wszystkich prawie gałęziach wiedzy ludzkiej (szczególniej widoczną w poemacie łacińskim „Zwycięztwo Bogów“ o którym niżej), język dosadny i malowniczy (łacina czysta, polszczyzna mniej doskonała i nie bez zarzutu), dużo werwy dowcipu i bystrości — a powyższa charakterystyka będzie uzupełnioną. Z drugiej strony, główne wady poezyi Klonowicza są: nadmierne używanie obrazów i podań biblijnych, i ze starożytności klasycznej i nieustanne plątanie przedmiotów i obrazów, tysiączne przeskoki i epizody, wreszcie przewaga dyalektyki rozumowanej, retorycznych podziałów, klasyfikacyi i określeń, tak mało zgodnych z istotą prawdziwej poezyi. Pierwsza z tych wad — nadużywanie balastu mitologicznego i starożytniczego—jest wspólną Klonowiczowi ze wszystkimi prawie spółczesnymi poetami, gdyż była to moda, a raczej choroba wieku; dalsze zaś u żadnego bodaj poety nie występują w takim stopniu, jak w niektórych miejscach utworów Klonowicza. Zdawałoby się, że ten umysł ruchliwy i niespokojny nie może wytrwać przy jednym przedmiocie, ale folgując nasuwającym się zbliżeniom, porównaniom i wspomnieniom bogatej swej wiedzy, miota się ciągle na wszystkie strony, przeskakuje do podobnych i jednorodnych, czasem nawet oddalonych przedmiotów, miesza rozmaite epoki i obyczaje i wikła częstokroć swoje opowiadania w chaotyczny kalejdoskop. Ztąd zbywa mu często na prostocie, choć rzadko zbywa na jasności. Tę ostatnią podtrzymują bowiem wzmiankowane rozumowania i argumentacye, które, biorąc rzecz z drugiej strony, są najczęściej dowodem braku prawdziwego natchnienia — owej genialnej intuicyi, ogarniającej jednym orlim poglądem i całość i szczegóły, a ztąd niepotrzebującej logicznych podziałek i scholastycznych dowodzeń.

Odpowiednio powyższym dwóm głównym cechom, ważniejsze utwory Klonowicza, tak polskie jak łacińskie, można podzielić na dwie grupy czyli raczej na dwie pary. Pierwszą parę, utworów opisowych i po części dydaktycznych, przesiąkłych nawskroś kolorytem rodzimym, stanowią poemat polski Flis i poemat łaciński Roxolania (Ziemie Czerwonej Rusi), drugą parę — utworów satyrycznych — składają satyra polska Worek Judaszów i satyryczny poemat łaciński olbrzymich rozmiarów p. n. Victoria Deorum (Zwycięztwo Bogów). Przy tem wszystkie te utwory są najzupełniej oryginalne, co się tyczy przedmiotu i założenia—poświęcone rzeczom, o których przed Klonowiczem nikt ani po polsku ani po łacinie nie pisał.

(d. c. n.)

Z Longfellow'a.

Dzień się ze wschodu wynurza,
Świt przy nim będąc na straży
Podnosi u gór podnóża
Fale i budzi żeglarzy.

— Do wioseł spieszcie i łodzi, —
Woła, — Rolnicy wstawajcie
Do pracy, bo dzień już wschodzi!—
Do ptaków woła: — Śpiewajcie! —

Do lasów: — Zielone znamiona
Rozpuśćcie, bo oto i łowy. —
Do kwiatów: — od ziemi łona
Podnoście strojne swe głowy! —

A do wieżycy w ratuszu: — Zegarze,
Strzeż godzin i czasu rozwoju! —
Lecz wschodząc po nad cmentarze
Szepce: — Wy śpijcie w pokoju! —

W. Z. Kościałkowska.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Nie wiem jakiem uczuciem wiedziona p. Iwicka chciała pokój ten minąć prędko ale ja pod groźbą stania się niedyskretnym, stanąłem i rozejrzałem się dokoła.

— Jest to pracownia pani, rzekłem. Spuściła oczy na chwilę, potem jednak podnosząc je odpowiedziała:

— Nie; chciałabym aby pracownią moją był cały dom mój. Tu czytam i maluję: trochę...

Wyraz: trochę, nie przedstawiał rzeczy w istotnej jej proporcyi. Kilka stolików mniejszych i większych, zarzuconych było książkami i broszurami; które, naprawdę, posiadały kartki rozcięte i nadwerężone czytaniem. Byłażby błękitną pończochą? pomyślałem. Ale nie; błękitne pończochy nie zajmują się tak troskliwie i rozsądnie zdrowiem i pomyślnym rozwojem swych rodzin i nie malują tak ładnie. Przy oknie, na sztalugach rozpiętą była malarska robota niewielkich rozmiarów i przedstawiająca rzecz nieważną, jasne jakieś tło usypane bez pozornego ładu kwiatami. Jakkolwiek nie jestem znawcą, malowanie to z fantastyczną nieco myślą, wydało mi się istotnem dziełem sztuki.

Zauważyła że przypatruję się jej robocie i rzekła z uśmiechem:

— Obrazek ten nie jest jeszcze skończonym. Maluję go dla Natalki. Dziecko przepada za kwiatami i pamiątka ta ode mnie uszczęśliwi ją.

Nie; stanowczo nie jest błękitną pończochą! W artystce odzywa się tu jeszcze matka.

Z obrazu przeniosłem mimowoli wzrok na okno i spostrzegłem że widać zeń było jak na dłoni, po za ogrodem a ulicą, dom w którym mieszkam.

— Jesteśmy bliskimi sąsiadami, rzekłem wskazując dom mój.

— Tak; odpowiedziała, mąż mój mówił mi o tem. Szczególna to rzecz, dodała po chwili, że w ostatnich latach często słysząc o panu ani domyślałam się że jesteśmy z sobą znajomi...

— Wszakże, zauważałem, pani nie raczyłaś przed chwilą przelotnemu spotkaniu naszemu przyznać prawa do nazwy znajomości...

Nie wiem doprawdy dla czego ale czułem gwałtowną chęć dokuczenia jej tą uwagą. Nie osiągnąłem celu. Podniosła na mnie śmiałe swe, jasne oczy i odpowiedziała:

— Omyliłam się. Można w istocie spędzić z kimś kilka godzin i poznać go dobrze. Z nami stać się to mogło podówczas tem łatwiej że byliśmy bardzo młodzi.

Wskazała mi fotel przy jednym z małych stolików i sama usiadła.

— Czy pan całe te dziesięć lat przepędziłeś w miejscu do którego udawałeś się wtedy, zapytała.

— Tak, pani; odpowiedziałem.

Odkąd wszedłem do tego przyćmionego, miękkiego pokoju ogarnęło mię nieprzezwyciężone zamyślenie. Doświadczałem uczucia gniewu czy żalu z którego przyczyn zdać sobie sprawy nie mogłem. Milczałem więc zapominając o podtrzymywaniu rozmowy. Kiedy nakoniec przezwyciężyłem się i podniosłem oczy, spotkałem wzrok jej utkwiony w mej twarzy z wyrazem pytającym. Pojąłem niewłaściwość znajdowania się mego, ale, cóż chcesz? niedarmo ludzie nazywają mię dzikim odludkiem. Nie umiem naginać się do konwenansów. Czułem że powszednia rozmowa z tą kobietą była mi w tej chwili niepodobną, wstałem więc w sposób którym objawić pragnąłem zamiar pożegnania. Pani Iwicka zrozumiała mię i wstała też szybko. Przez chwilę stała milcząc, prosta i zamyślona, ze spuszczonemi oczami. Nagle, najniespodzianiej dla mnie, postąpiła parę kroków i podała mi obie ręce.

— Panie Adamie, rzekła, bądźmy przyjaciołmi!

W tem nazwaniu mię nie po nazwisku ale po imieniu było takie odwołanie się do dawnego wspomnienia a w głosie jej tyle ciepłej szczerości, gest jej był tak przyjaznym a spojrzenie tak przypomniało mi owe źrenice utopione w blaskach wzruszeń, które niegdyś tak długo i uparcie szły wciąż zimną i przedemną, że wziąłem obie podane mi dłonie i uścisnąłem je silnie.

Wtedy odzyskała całą swobodę obejścia się która opuściła ją była przed kilku minutami a nawet stała się mówną i wesołą. Zaczęła pokazywać mi różne przedmioty nagromadzone w pokoju i istotnie godne uwagi. Mnie też opuściło rozdrażnienie którego doświadczałem, dopóki czułem się zupełnie dla niej obcym. Zacząłem przeglądać książki zawarte w wielkiej szafie. Z niewymowną przyjemnością spotykałem tam dobrych znajomych moich, ze studenckich jeszcze czasów, a z którymi potem zerwałem był wszystkie stosunki: Uśmiechnęły się do mnie imiona pisarzy i dzieł które były przedmiotem czci i źródłem zachwytów mojej młodości. Ale zarazem ujrzałem długi szereg imion i tytułów o których wadze i znaczeniu najlżejszego już nie miałem wyobrażenia. Przyznałem się pani Iwickiej do tej mojej ignorencyi.

— To szkoda, że oddaliłeś się pan w ten sposób od świata żyjących, rzekła z uśmiechem. Mnie się zdaje że w dziedzinie myśli ludzkiej wszystko ma z sobą łączność i że uprawianie jednej z gałęzi prac umysłowych nie powinno pociągać za sobą zupełnego rozbratu z innemi.

Przyznałem że miała słuszność i wyspowiadałem się jej ze zbytecznego zapewne zasklepienia się mego w obranym specyalizmie. Rozmawialiśmy dość długo na ten temat i nasunęła mi kilka myśli i uwag które dotąd nie przyszły mi do głowy. Potem wydobyła z pod stosu innych druków parę broszur moich i ostatnią mą książkę o hygienie i pokazała mi je z uśmiechem.

— Czy pan piszesz co teraz? zapytała.

Czułem się wesołym. Śmiejąc się więc powiedziałem jej że tym razem z pod pióra mego wyjdzie wielce poetyczne i ponętne dzieło, traktujące o wpływach jakie na losy ludzkości wywierają dobrze urządzone systemy ścieków miejskich. Zaśmiała się także a w tej samej chwili wbiegła do pokoju smukła, jasnowłosa Natalka i obejmując ramionami kibić matki oznajmiła, że ojciec pyta się czy mama i p. Strosz prędko wrócą do salonu bo potrzebuje wyjść za interesami a chce p. Strosza pożegnać!

Gdy weszliśmy do salonu, Iwicki przechadzał się po nim zwykłym swym szerokim i zamaszystym krokiem. Doprawdy! człowiek ten a raczej mąż tej kobiety mógłby posiadać trochę estetyczniejszą powierzchowność i mniej głośno mówić i śmiać się. Ujrzawszy nas wchodzących, zawołał:

— Przybycie pana do Ongrodu panie Strosz jest wielkiem szczęściem dla naszego miasta ale także i dla nas. Uspokoisz pan przynajmniej moją Maryą. Najrozumniejsze nawet kobiety bywają zawsze egzaltowane. Marya troszczy się zbytecznie o dom i dzieci i nieraz wymyśla sobie zmartwienia nie istniejące. Ma ona tak drażliwe sumienie że zawsze wątpi o tem czy robi to co należy i jak należy. Teraz pod przewodnictwem pana będzie pod niektóremi przynajmniej względami pewniejszą siebie.

Zbliżył się do mnie i zaczął formułować propozycyą abym został domowym, stałym ich lekarzem. Wspomniał coś o sławie mojej i o honoraryach i o słabem zdrowiu swych dzieci i o tem iż w domu jego mieszkają urzędnicy z jego bióra którzy także chorują czasem, ale składał to wszystko niezręcznie i mówił wciąż niepewnym, wahającym się głosem. Nie przypuszczam aby człowiek przemyślny, obrotny jak on i mający całe życie do czynienia z arytmetyką i ludźmi różnego gatunku, podobnej trudności mógł doświadczać w mówieniu o interesach. Dla czego plątał się i wahał się w swej mowie i dla czego miał pozór człowieka spełniającego coś dlań ciężkiego, nie pojmuję. Pani Iwicka nie mówiła nic ale z wyrazu jej twarzy poznawałem że niezręczna przemowa męża sprawiała jej przykrość. Propozycyą naturalnie przyjąłem i zobowiązałem się raz w tydzień albo i częściej dom Iwickich odwiedzać.

W salonie znajdowała się osoba której wprzódy tam nie było a której pani Iwicka przedstawiła mię jako pannie Klotyldzie Iwickiej, siostrze swego męża. Stanowczo, wieszczki wdzięku i dystynkcyi nie znajdowały się przy urodzinach rodu Iwickich. Twarzy panny Klotyldy nie pamiętam już wcale ale wiem że jest ona dużą, grubą osobą i że na głowie swej ma jakąś potworność zbudowaną z włosów trochę już siwiejących. Tylko co snać wróciła była z miasta bo na owej włosianej potworności miała jakiś malutki, dziewiczy kapelusik ozdobny w kwiatki tak niewinne jak niewinnym był ukłon i wzrok spuszczony ku ziemi z któremi mię powitała.

Gdy wychodziłem państwo Iwiccy towarzyszyli mi aż do sali jadalnej. Była to chęć przedłużenia przyjacielskiej rozmowy zemną, nie zaś objaw ceremonialnej grzeczności. W sali zobaczyłem stół nakryty do obiadu zapewne. Sądząc z licznych nakryć zasiąść miało przy nim osób kilkanaście.

— Myślisz pan może, zaśmiał się Iwicki, że mamy dziś u siebie jakiś obiad proszony. Bynajmniej. Nie lubimy bawić się często w fety. Mam oto w biórze moim kilku nieżonatych i niezamożnych urzędników których Marya chciała do naszego domu przyciągnąć. I czy uwierzysz pan że nie jest to nawet tak kosztownem jakby się zdawać mogło. Odkąd pomocnicy moi zamiast jadać w garkuchniach siadają przy naszym stole a w święta spędzają nieraz z nami całe wieczory, prowadzenie ich i pilność w pracy uległy wielkim polepszeniom, co naturalnie wychodzić musi na korzyść interesom moim.

— Zdaje mi się, wtrąciła p. Iwicka, że tylko na tej drodze dojść można do rozwiązania wielkiej i groźnej kwestyi pracy i kapitału.

— Marya ma słuszność, potwierdził Iwicki, bo niech tam sobie co chcą mówią, uczciwość i oświata są conajmniej zaraźliwemi jak zepsucie i ciemnota. Jednak, dodał po chwili z właściwym sobie uśmiechem pół dobrodusznym, pół przebiegłym, jednak, mnie samemu nigdy to dawniej na myśl nie przyszło.

Ona zawsze musi mieć słuszność. Zdaje mi się jednak że raz w życiu popełniła omyłkę. Może zresztą ja to jestem w błędzie a ona pozostała tylko wierną swej naturze. Natura zaś jej musi być jedną z tych które czyste jak kryształ i jak kryształ chłodne, obcemi pozostają zarówno skazie jak namiętności wszelkiej. Niegdyś przedstawiała mi się inaczej ale była to zapewne gra własnej mej wyobraźni chociaż z drugiej strony, trudno przypuścić aby pod powierzchownością tak wymowną ukrywał się temperament i charakter zimny. Z dawnych czasów pozostała w niej skłonność do częstego rumienienia się. Nadaje to powierzchowności tej blisko trzydziestoletniej kobiety, pozór dziewiczy i razem dziwnie drażniący ciekawość. W twarzy jej, nietylko oczy i usta ale karnacya skóry posiada swą wymowę. Widziałem to wczoraj jeszcze kiedy jadąc przez miasto, spotkałem idącą na przechadzkę rodzinę Iwickich. Szli sobie zupełnie po mieszczańsku, w zgodzie i pokoju. Mąż podawał ramię żonie, przed nimi starsza córka prowadziła młodszych synków. Wszystko było w ładnym i wzorowym porządku. Ale gdy pozdrawialiśmy się ukłonami, na policzki pani Iwickiej wystąpił cień różowy i w mgnieniu oka podniósł się na czoło aż po czarne warkocze...

Co prawda, istnieją na świecie ludzie którzy w czepkach się rodzą. Wyobrażam sobie naprzykład że ten Iwicki musi być szalenie szczęśliwym człowiekiem!

Adam.

LIST IX.

Marya do Klementyny.

Ongród, 25 Listopada.

Wielki wypadek w jednostajnem życiu mojem, kochana Klemensiu! Pan Adam Strosz, sławny lekarz-hygienista jest moim dawnym znajomym, z którym niegdyś odśpiewałam wspólnie jedyną i krótką erotyczną strofę mego życia. Kiedy przyszedł do nas poznałam go od razu i tak byłam zdumioną że aż głośno krzyknęłam. Zawstydziłam się potem tego dziecinnego wyskoku tak dalece że tru-

dno mi było przyjść do słowa. Pan Strosz jednak ułatwił mi zadanie bo zaraz i prosto przystąpił do celu swej wizyty. Mógł był co prawda znaleźć się mniej trochę oficyalnie ale w ogólności wydaje się nieco ochłodzonym przez życie i zbyt wyłącznie pogrążonym w swym specyalizmie. Wkrótce jednak zabraliśmy ze sobą bliższą znajomość, udzielił mi wielu bardzo cennych rad i przepisów i zdaje mi się że z czasem staniemy się dobrymi przyjaciołmi. Prosiłam go nawet o to, bo jest mi zawsze sympatycznym i wygląda na człowieka który jakkolwiek zakuł się od stóp do głowy w stal surowego spokoju, nie czuje się zupełnie zadowolonym z życia. Być może iż nie dopisały mu gorące ambicye i nadzieje młodości, że nie uczynił wszystkiego co zamierza i nie doświadczył wszystkiego o czem marzył. Wielce to pospolity los ludzki ale w życiu każdego na świecie człowieka bywają momenty w których trudniej jak zwykle przychodzi mu złożyć spokojną głowę na prawdziwym lecz ciernistym aksyomacie, że wszystkiego razem na ziemi posiadać nie można!

List mój dzisiejszy do Ciebie pełen będzie nowin. Dziś właśnie, Michał zwiastował mi wiadomość która ucieszyła mię do głębi serca. Pamiętasz pewno bo pisałam ci o tem niedawno, że Porzewin, kochana moja wieś rodzinna, wydzierżawionym został przed śmiercią ojca mego na lat sześć. Przez cały czas ten nie posiadaliśmy do miejsca tego praw żadnych, tak dobrze jak gdyby nie było ono naszą własnością a nawet, prócz paru wycieczek które Michał czynił tam co roku dla nadzoru lasu i gospodarstwa dzierżawcy, nie zaglądaliśmy tam wcale. Wyznam ci że niekiedy, w lecie szczególniej, tęskniłam za tem pięknem i drogiem miejscem i że z niecierpliwością oczekiwałam chwili w której poczciwy mój stary dom rodzinny otworzy się znowu przedemną. Wiedziałam wprawdzie że termin kontraktu dzierżawnego kończy się z przyszłą wiosną ale zachodziły dotąd niejakie wątpliwości czy nie zajdzie potrzeba przedłużenia go jeszcze na lat kilka i dziś dopiero dobry mój Michał oznajmił mi że przeszkody wszelkie usuniętemi zostały bez strat innostronnych i że na wiosnę wejdziemy w prawne i rzeczywiste posiadanie Porzewina. Mówiąc: dobry, powinnam była dodać jeszcze: rozumny, nie wyobrazisz bowiem sobie jak mądrze, przemyślnie i pracowicie prowadzi on szerokie i powikłane interesy i z jaką zręcznością rozwiązać potrafił teraz zadanie polegające na nienadwerężeniu spraw swych handlowych i jednoczesnem odzyskaniu praw naszych do Porzewina. Jest to zapewne rozum tak zwany praktyczny ale mojem zdaniem, mylą się grubo ludzie niektórzy, mający rodzaj ten rozumu w pogardzie. Jeżeli tylko jest on połączony z prawością charakteru, rozum praktyczny składa podwaliny pomyślnych losów rodzin a także dobrobytu i materyalnej potęgi narodu. Cóż dopiero, jeżeli tak jak w Michale przymiot ten umysłowy łączy się z nieopisaną dobrocią serca! Teraz naprzykład, jestem pewna że wszystkie usiłowania w celu odzyskania Porzewina, dokonanemi były przez Michała przeważnie dla tego abym ja przez nie doświaczyła serdecznej radości. Wdzięczną też mu jestem szczerze i rzewnie i z powodu uczucia tego wytaczam ci znowu wojnę której w ostatnim liście jako pendent do wojny o sposób rozumienia miłości, wytoczyć ci zapomniałam. Napisałaś że wdzięczność jest uczuciem szlachetnem ale które nic a nic do czynienia nie ma ze sprawami miłości i małżeństwa. O, jak mylisz się, Klementyno! wdzięczność jest jednym z najsłodszych i zarazem z najsilniejszych uczuć wiążących ze sobą ludzi, jest ona też jednym z najlepiej zadzierzgniętych węzłów rodzinnego życia. Wdzięczność za wspólne jasne wspomnienia, za wzajemnie otrzymane pomoce i pociechy rozświeca dla męża i żony chwile zmroczone troską lub znużeniem, które w najszczęśliwszem względnie istnieniu znaleźć się muszą, wyrównywuje, różnice usposobień, na wzajemnie dostrzeżone wady lub śmieszności rzuca zasłonę łagodnego i łatwego pobłażania. Biedne są serca które nie umieją albo nie mają za co czuć wdzięczności! Niezupełnemi są rękojmie domowego spokoju dla dwojga ludzi, którym uczucie to, jedno z najmilszych i najsilniej obowiązujących, nieznane lub niedostępne!

Wracając do spraw naszych rodzinnych, marzę już tylko o tem jak na wiosnę wywiozę dzieciaki moje na wieś, pomiędzy silne wonie sosnowych borów i pierwsza pokażę im to czego nie widziały jeszcze nigdy: szerokie łany pól ojczystych, wdzięczne pejzaże ojczystego kraju i biednych pracowników wiejskich uprawiających w pocie czoła twardą ziemię. A ileż ja mam świetnych planów i projektów dla udoskonalenia i upiększenia tego kawałka ziemi który my posiadacze jego w obec prawa, trzymamy także w dzierżawie w obec potrzeb i interesów ogółu! Słowem głowa moja jest dziś stosem marzeń co zresztą często z nią się zdarza. Spoglądam nawet w daleką przyszłość. Przyznam ci się do tej słabości że pragnęłabym aby Porzewin został własnością Natalki, gdy dorośnie ona i zechce sobie drogę życia wybierać. Synowie wezmą po ojcu miejską jego posiadłość i kapitały. Powinnam była wyrazić się: syn, gdyż Janek, to zapewne najmłodszy z dzieci naszych zostanie jedynym następcą ojca w zawodzie który oddawna jest dziedzicznym w rodzinie Iwickich. Biedny Franuś, kalekie moje dziecię, nie będzie mógł zapewne być niczem więcej jak skromnym pomocnikiem swego brata.

Ty, Klementyno, która nie masz jeszcze dzieci, zaśmiejesz się może z tego patrzania mego w tak daleką przyszłość. Nie wyobrażasz sobie przecież jakie poczucie obowiązku i jaka rozkosz zarazem spoczywają w długiem i powolnem budowaniu przyszłości rodzinnej.

Wiele mogłabym jeszcze pisać ci na ten temat ale późno już jest i czuję się trochę zmęczoną.

Kilka słów tylko dodam jeszcze.

Piszę zazwyczaj jak wiesz przy oknie które wychodzi na ogród. Otóż za ogrodem i wązką ulicą którą znasz, znajduje się dom w którym mieszka p. Adam Strosz. Pamiętasz ten dom jednopiętrowy, drewniany, z pozorem ładnej willi miejskiej? Przez całe jesienne wieczory długi rząd okien domu tego bywa zupełnie ciemnym. W dwóch z nich tylko widać światło lampy. Pali się ono za to późno po północy i ani razu jeszcze nie czuwałam dość długo aby widzieć je zagasającem. Są to zapewne okna pracowni pana Adama. Smutne wrażenie sprawiają mi dwa te samotne światła. Jak tam ciemno być musi, głucho i pusto w tem mieszkaniu człowieka który jednak jako pracownik nauki i ludzkości ma swoją wielką wartość i zasługę a jako człowiek posiadać musi koniecznie pragnienia i tęsknoty ludzkiego serca! Chciałabym wiedzieć dla czego dotąd pozostał samotnym? czy nie spotkał w życiu kobiety wedle wyobrażeń i uczuć swoich? czy też może, jak wielu ludzi z surowemi przyzwyczajeniami umysłu lekceważy uciechy i obowiązki rodzinne? Jakkolwiek bądź przykro mi jakoś patrzeć na dom ten który właściwie nie jest domem i na ten blask lampy który przyświeca jednej właściwie połowie życia. Mimowoli zapytuję siebie: dla czego najwznioślejsze postacie ludzkie stoją najczęściej wśród świata i ludzi usamotnione i zaledwie spokojne? Dla czego głowy najwyżej wzniesione tak rzadko spocząć mogą na piersi która myśli ich w siebie wchłonąć umie? Dla czego natury bardzo bogate nie zużywają nigdy wszystkich swych bogactw lecz zawsze coś z nich uronić muszą w koniecznościach lub niepodobieństwach życia? Pytania te zadają mi te dwa światełka punkta które zdają się patrzeć prosto w moje okna jak dwie źrenice zamyślone i smutne. Niech na czoło człowieka który tam za niemi pracuje sam jeden, spłynie przynajmniej cały spokój ciszy, bez goryczy tych i tęsknot które często zawiera ona w sobie! Niech w braku innych radości życia, pierś mu napełnią czyste pociechy spokojnego sumienia! Niech głowę jego, w zamian kochającej piersi której przy nim nie ma, osłonią od zwątpień i znużenia chłodne ale wierne dłonie pracy i wiedzy!

Dobranoc Ci Klementyno.

Marya.

LIST X.

Adam do Jerzego.

Ongród, 20 Grudnia.

Myślałem dotąd, kochany Jerzy, iż człowiek nie pozbawiony rozumu i woli, może urządzić życie swoje w ten sposób aby było jak zegar z jedrostajnem tętnem i wskazówkami wiernie wciąż przebiegającemi wykreślone im koło. Omyliłem się. Czas i stosunki z ludźmi każdemu snać przynosić muszą najmniej oczekiwane niespodzianki.

Mógłżem ja który na kobiety patrzałem jako na połowę rodu ludzkiego niedokształconą i niedołężną, zdolną do wywierania bardziej ujemnych niż dodatnych wpływów na męzkie umysły i egzystencye, mógłżem przed miesiącem jeszcze myśleć i przypuścić że spotkam kobietę której przyjaźń, z którą stosunek stanie się dobroczynnem wytchnieniem wśród trudów zawodu mego, co więcej, żywem i pogodnem światłem z pomocą którego widzę dokoła siebie wiele rzeczy wprzódy niedostrzeżonych.

Źle ci ją określiłem pisząc w ostatnim liście że jest ona zupełnie inną niż była przed dziesięcią laty. Nie; kobieta ta jest wierną kontynuacyą czarującej niegdyś młodej dziewczyny. W postawie jej wyniosłej i bezwiednie dumnej, w swobodzie mowy jej i poruszeń, w przeciągłem i zamyślonem wejrzeniu jej oczu znać poczucie spokojnej siły i poważne nawyknienie do pracy i skupiania myśli; lecz zarazem, w srebrnym śmiechu który od czasu do czasu wypływa z za warg jej świeżych jak róża, w gładkości jej czoła, w srebrnych blaskach które oblewają źrenice jej ile razy wesołą jest lub rozrzewnioną, tkwią znamiona natury dziewiczej, nietkniętej nigdy żadnym gwałtem ni wstydem burzliwych namiętności. Z wielkiego zasobu posiadanych umysłowych wiadomości wywikłać potrafiła ona pełno pojęć które czci i kocha. Nieraz gdy rozmawiam z nią, zdaje mi się że przed oczami memi rozwija się pasmo złotych nici, których końce zaczepiają gdyś w oddali i idealną cnotę i idealne szczęście ludzkości!

Zagadnienia czy kobiety z natury swej zdolne są do podniesienia się na wyższy stopień umoralnienia i urozumnienia, niż ten na którym najogólniej zostają teraz, nie odsyłam już do pedagogów i moralistów. Rozstrzygam je sam w sposób twierdzący. Gdyby zaś większość kobiet w przybliżeniu przynajmniej, posiadała zalety umysłu i charakteru pani Iwickiej, dla większości mężczyzn szczęście byłoby dostępniejszem, praca i uczciwość łatwiejszemi.

Nie deklamuję wcale gdy mówię o uczciwości ułatwionej wpływem prawdzie uczciwej też i dobrej kobiety. Wpływ ten byłby nieobliczonym gdyby

istniało na świecie wiele domów takich jak dom Iwickich. Miałem tego naoczny dowód parę dni temu.

Jeden z urzędników pracujących w biórze Iwickiego i mieszkających w jednej z oficyn kamienicy zasłabł. Oznajmiono mi o tem, odwiedziłem chorego, poczem wstąpiłem do Iwickich aby zdać sprawę pani Maryi o stanie pacyenta i o tem czego w czasie choroby będzie on potrzebował. Zwyczaj ten oddawania chorych znajdujących się w domu pod opieką pani domu, znalazłem już wprowadzonym tam oddawna. Stosował się w tym względzie do woli p. Iwickiej mój poprzednik, ja też przyjąłem go z łatwo zrozumiałą przyjemnością.

Przybyłem w chwili gdy całe towarzystwo wstawało od obiadu.

Rodzina składa się właściwie z osób sześciu, do stołu jednak zasiada osób piętnaście. Wiesz już o tem kim są ci codzienni goście Iwickich i w jakim celu p. Iwicka zgromadza ich przy swym stole.

(*d. c. n*).

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

PRZEZ

Joannę Belejowską.

Nie pustynie i śmierć, astronomia ukazuje nam na niebie; ale życie powszechne i wiekuiste.

Najsłynniejszy z francuzkich popularyzatorów nauki, zapalony wielbiciel astronomii której badaniom całe poświęcił życie, porywający wdziękiem wysłowienia i pewnością wykładu, Kamil Flammarion, autor znanego Czytelnikom naszym dzieła „*Wielość światów zamieszkanych*" które tak niezwykłem i u nas cieszyło się powodzeniem iż w krótkim przeciągu czasu aż dwa wyszło wydania, obecnie po upływie lat piętnastu, ogłosił jakby dalszy ciąg jego p. n. *Lès terres du Ciel* i t. d. „i korzystając z niespodziewanych postępów astronomii fizycznej, rozwija w nowym utworze, uzupełnia i utwierdza dowodzenia swoje, przedstawione w „Wielości światów zamieszkanych."

Dziś, mówi on, „nierozważamy już doktryny istnienia życia po za naszą ziemią w jej charakterze ogólnym i filozoficznym, możemy wniknąć w szczegóły, z dowodami w ręku zatrzymać się na każdej planecie i wykazać niezbite świadectwa istnienia życia na ich powierzchni. Tak więc dzieło *Lès terres du Ciel* jest traktatem opisującym *Astronomii planetarnej*, w którym po raz pierwszy przedstawimy szczegółowy opis każdej z planet towarzyszących Ziemi w systemie słonecznym, oraz o ile można dokładny wykaz ich stanu klimatologicznego, meteorologicznego a nawet geograficznego, czyli położenia ich geograficznego jako miejsca zamieszkania.

Przed piętnastu laty astronomia *matematyczna* przeważała i zaćmiewała najzupełniej astronomię *fizyczną*; niebo było tylko stronicą zapisaną liczbami, a zaczynające kiełkować pragnienia duszy człowieka ku óświatom niebieskim, uważano za płonne i bezużyteczne mrzonki; dziś wielka nastąpiła zmiana, astronomia fizyczna zwróciła zwolna na siebie uwagę i zajęcie myślicieli. Pojawili się nowi znakomici astronomowie, a powstała nowa nauka, analiza widma słonecznego, zadziwiające miała poczynić zdobycze. Wymyślono nowe narzędzia, pourządzano w różnych krajach obserwatorya przeznaczone wyłącznie do astronomii fizycznej; zbudowano potężne lunety, i olbrzymie teleskopy i wielu bardzo astronomów oddało się najwytrwalszym badaniom fizycznej konstytucyi Słońca, Księżyca, planet, komet i gwiazd. Dziś każdy już pojmuje że liczby nie stanowią Astronomii, lecz że jedynie są podstawą badania obrotów i ciężkości. Analiza matematyczna ukazywała tylko w Wszechświecie kamienie rzucone w próżną przestrzeń, większe i mniejsze, poruszające się prędzej i wolniej, dziś wiemy że prawdziwa znajomość nieba nie zamyka się w tablicach logarytmów; Wszechświat nie jest głuchą puszczą w pośród której unoszą się martwe bryły, ani też czarną tablicą na której wypisuje się większe lub mniejsze liczby. Wszechświat żyje! Z każdego słońca promieniejącego w eterze, wybiegają nieustannie liczne drgania świetlne, oświecające i ogrzewające światy; każdy świat, w każdym systemie skupia się w około swego ogniska, obraca na swej osi, tworzy dnie i noce, pory i lata, przejmuje siłę od swego słońca i przerabia ją w objawy żywotne, odmienne na światach odnośnie do siły i kombinacyi pierwiastków życia na każdej sferze. Tak więc zupełna, integralna nauka astronomii nie zasadza się jedynie na poznaniu wielkości, odległości, obrotów i ciężkości gwiazd, ale głównie i przedewszystkiem na zbadaniu fizycznej ich konstytucyi a szczególniej warunków życia na ich powierzchni, i oto prawdziwy filozoficzny cel astronomii.

Tak jest, kwestya istnienia życia na innych światach jest główną kwestyą nie tylko astronomiczną ale i w ogóle całej filozofii. Tegoczesna nauka ukazuje nam Ziemię mieszczącą się bez żadnej szczególnej różnicy między planetami systemu słonecznego (i to nie między najgłówniejszemi); świat nasz jest zaledwie dającym się dostrzedz odłamkiem całego Wszechświata, cząsteczką ginącą w całości, przedmiotem tak nic nie znaczącym, iż byt jej lub niebyt nic prawie nie dodaje i nic prawie by nie ujął wielkości i bogactwa powszechnej kreacyi. Słońce jest to olbrzymia gwiazda zawieszona w próżni, podtrzymujące swą siłą planety swego systemu, które obracają się w koło niego z zadziwiającą prędkością i z szybkością błyskawicy rzucają do koła drgania eteryczne wynikłe z jego łona: jest to bezmierne *serce* którego uderzenia roztaczają w dal strumienie ciepła, światła, elektryczności, czyli raczej jest to *siła* nienazwana rozchodząca się w przestrzeni nic nie wytwarzając w tejże, nie ogrzewając jej ani oświecając, ale która spotkawszy którąś planetę, zostaje przez nią zatrzymana a szybkie drgania jej ruchu eterycznego *przekształcają się* w siły czynne, jakiemi są: ciepło dla naszego organizmu, światło dla oczu, magnetyzm, dla igły magnesowej, siła chemiczna dla roślin, pożywienie dla zwierząt, działalność nerwów dla naszego mózgu, które to siły wywołują cuda życia na powierzchni planet. Ziemia nie jest bynajmniej więcej uprzywilejowaną niż jej towarzyszki a przyjmowanie tego słonecznego upładniania, które i one otrzymują na jednych prawach. Ale kolosalne nasze słońce w rzeczywistości jest tylko gwiazdą i każda gwiazda jest rzeczywiście prawdziwem słońcem, jaśniejącem swojem własnem światłem i bez wątpienia jest ogniskiem systemów planetarnych mniej więcej odmiennych od naszego. Systemata sztuczne mijające się w nieskończoności na setki milionów liczyć trzeba, a składające je planety na miliardy. I czemże jest Ziemia w tej niezmierzonej całości? mniej niż jedna wioszczyna, niż jedna lepianka odnośnie do całego naszego świata. Czy Wszechświat jest zaludniony czy jest pustynią tylko? czyli raczej skoro Ziemia nasza jest cząsteczką równającą się zeru *czy Wszechświat istnieje lub nic?* oto ostateczne, stanowcze pytanie.

Tak więc istnienie życia powszechnego i wiekuistego w nieskończoności, stanowi rzeczywiście główną syntezę i stanowczy cel Astronomii, w obec którego czemże są tak sama astronomia jak i inne nauki? czem są dzieje pojedyńczych krajów i świata całego w obec Wielości światów?... to historya mrowiska w porównaniu z historyą wielkiego lądu, historya jednej rodziny w porównaniu z dziejami całej ludzkości.

Jakąż to zagadką są dla nas te znaki zapytania zawieszone nad naszemi głowami? Gdy cała przyroda spocznie a noc gwiaździsta roztacza się nad nami; zaciekawiona myśl nasza unosi się ku tym jasnym punktom pragnąc zbadać ich tajemnice... Otóż dociekła ich astronomia i ona uczy nas że gwiazdy są słońcami, a planety ziemiami podobnemi do naszej ziemi.

Tak są to *Ziemie* wielkie, ogromne, utworzone z materyałów ciężkich i nieznanych; Ziemie, na których widać lądy i morza; Ziemie, złożone z gliny jak nasza, których grunta równie rozmaite jak nasze tworzą góry i doliny, płaszczyzny i równiny będące kolebkami krajobrazów zmieniających się w kolei wieków. Ziemie te są ciężkie jak i nasza ziemia i równie jak ona suną w nieskończonej przestrzeni nie mającej góry ani dołu, kierunku ani miary. Nie są obdarzone własnem światłem i jeźli zdają się błyszczące, to jedynie dla tego iż słońce oświeca je zarówno jak naszą ziemię, i że odległość zmniejszając ich okrąg,ześrodkowuje w jeden punkt całe oświecające je światło południa. I nasza ziemia z oddali tak samo błyszczy w przestrzeni, przedstawia także zmiany jak Księżyc, Merkury, Wenus, Mars i jak świetna gwiazda błyszczy na niebie innych światów.

Nasz system planetarny, mówi dalej autor, może być przyrównany do bezmiernej rzeczypospolitej, w której każdy świat przedstawia jedno państwo, większe lub mniejsze; potężniejsze lub słabsze, mniej lub więcej zaludnione; są to Stany Zjednoczone nieba a przynajmniej tej jego strefy w której my się znajdujemy. Po za otaczającym nas Oceanem eterycznym, istnieją inne Stany Zjednoczone którym w ludzkiej mowie nadano nazwy Syriusa, Prokyona, Kapelli, Arkturusa, ale są to prowincye tak odległe iż spostrzeżenia nasze dosięgnąć ich nie mogą; tylko prowincye rzeczypospolitej słonecznej mogą być obserwowane za pomocą udoskonalonych lunet i teleskopów i do tych zamierza wprowadzić czytelnika, rozpoczynając od najbliższej a kończąc na najdalszej. W tej podróży planetarnej spotkamy i ziemię którą zamieszkujemy obecnie, ale która nie zawsze będzie zamieszkaną.

Oto w krótkości treść przedmowy. W księdze pierwszej, Flammarion opisuje teleskopy i lunety astronomiczne, wymienia największe i najdokładniejsze, którym głównie zawdzięczać należy dzisiejszy postęp astronomii.

Dziś, mówi, lepiej od ojców naszych poznaliśmy wszechświat. Każda gwiazda jest słońcem kolosalnem, ciężkiem, odosobnionem w otchłaniach eterycznych, jaśnieje własnem swem światłem i jest głównym punktem nieznanego systemu. Każdy planeta naszego systemu słonecznego, jest (powtarzamy) ziemią jak ta którą zamieszkujemy, a ziemia nasza widziana z odległości, wydaje się punktem świetlanym, jak nam wydaje się Wenus, Mars i Jowisz, gdyż zarówno jak te planety odbija w przestrzeni

światło odbierane od słońca. Ziemia przedstawia zmiany odpowiednie tym jakie gołem okiem widzimy na księżycu a na Wenus przez teleskop.

Podobne zmiany mają miejsce na każdej planecie. Wielkość i blask ziemi i innych planet zależy od odległości z jakiej je obserwujemy.

Ziemia nasza jest *gwiazdą* nieba z tegoż samego tytułu co Merkury lub Saturn. Błękitny firmament który zdaje się roztaczać nad naszemi głowami i tworzyć jakby sklepienie po nad światem nie istnieje wcale; jego barwa i kształt jest wynikiem składu naszej atmosfery. Błękit pochodzi z odbicia światła słonecznego o cząsteczki pary wodnej któremi jest napojona, a formę kólistą zakreśla nasze oko do koła wyraźnych krańców widzenia. Nie byłoby firmamentu, gdyby nie było powietrza i oświecającego je światła. Ze świata, n. p. księżycowego nie widać wcale nieba, tylko czarną niezgłębioną przestrzeń, w ktorej gwiazdy błyszczą dzień i noc, nie zaćmione światłem słonecznem ani pełnią ziemi.

W wszechświecie nie ma góry ani dołu, lewej ani prawej, ani żadnego kierunku. Kula ziemska rzucona jest w próżnię i posuwa się po swej drodze z prędkością 650,000 mil dziennie, to jest 1,100 razy prędzej niż najszybszy pociąg kolei żelaznej, 73 razy prędzej niż kula armatnia. To co w pewnej porze było dla nas górą, w innej staje się dołem i na odwrót; nie ma firmamentu nazwanego niebem, istnieje tylko niezmierzona nieskończoność i światy krążą w jej łonie.

Wymierzanie odległości, wielkości i obrotów wykazało nam tę główną prawdę że Ziemia jest gwiazdą nieba w którem się obecnie znajdujemy; teleskop zaś zbliżając do nas inne planety i powiększając ich pozorną objętość, dał nam poznać że nie są to świetlne punkta błąkające się po niebieskiem sklepieniu, ale olbrzymie światy, tyle i większe od tego w jakim przebywamy.

Dzięki udoskonaleniu narzędzi optycznych, światy niebieskie zbliżyły się do naszych oczu i dziś widzimy je tak prawie jak gdybyśmy ciałem przenieśli się na nie. Patrząc gołem okiem, planety przedstawiają nam się jak gwiazdy, to jest jak proste punkta świetlne, bez pozornej tarczy; dostateczne powiększenie zwiększa punkt świetlny i zamienia go w tarczę. Powiększyć przedmiot albo go przybliżyć geometrycznie wychodzi to na jedno.

I tak naprzykład, człowiek jakiś stoi gdzieś daleko w polu; gołem okiem dostrzegamy tylko czarny punkt, ruchomy jeźli człowiek ten się porusza; jeźli skierujemy na punkt lunetę dziesięć razy go powiększającą, rozróżnić już możemy kształt człowieka, co wychodzi na to jakbyśmy o dziewięć-dziesiątych zbliżyli dzielącą nas od niego odległość. Dwa razy takie powiększenie zbliży go jeszcze o połowę odległości i tak dalej w tym stosunku.

Łatwo wytworzyć sobie ścisłe i dostateczne pojęcie tych pierwszych zasad optyki, jeźli zastanowimy się nad tem że pozorna wielkość przedmiotów zależy od tego z jakiej na nie patrzymy odległości. I tak, linia jeden metr długa, położona prostopadle przed nami, im dalej leżeć będzie, tem mniejszą się wyda i rozmiar jej zmniejszać się będzie w prost w stosunku odległości. O sto metrów wydawać się będzie dwa razy mniejsza niż o 50, o 200 dwa razy mniejszą niż o 100 i t. d. jeźli zatem znajdzie się sposób powiększenia jej o drugie tyle, wyjdzie to na jedno jak gdyby zbliżyć ją o połowę odległości.

Średnia odległość księżyca, wynosi 96,000 mil (zmienia się nieco ponieważ nasz satelita nie opisuje zupełnego koła ale elipsę). Jeźli więc za pomocą jakiegoś narzędzia optycznego, powiększymy o tyle tarczę księżycową iż średnica jej przedstawi nam się dwa razy większą niż widziana gołem okiem, wtedy odległość zmniejsza się o połowę to jest schodzi do 48,000 mil.

Stokrotne powiększenie przybliża księżyc na odległość 960 mil; tysiąc razy powiększony jest jakby tylko odległy o 96 mil, 2,000 razy, odległy jest już o 48 mil a gdyby można powiększyć go 10,000 razy, byłby wtedy już tylko jakby o dziewięć i pół mili odległy od nas. Ale, niestety powiększanie narzędzi optycznych ma swoje granice; otrzymane po dziś dzień rezultata, powiększają *dokładnie* najwyżej 2,000 razy; jednak od pół wieku optyka tak olbrzymie czyni postępy, iż w niedalekiej może przyszłości większych daleko dosięgnie rezultatów. W Ameryce przedsięwzięto już do ostatnich granic posunąć możliwe próby; myślą zbudować olbrzymi teleskop, mający kosztować bajeczną sumę milion dolarów.

Podróż swoją po światach systemu słonecznego rozpoczyna Flammarion od słońca, tego dobroczynnego ogniska od którego promieni zależy życie ziemi i innych planet; następnie prowadzi czytelnika do planet najbliższych słońca, i przechodzi kolejno do najodleglejszych. W tej wędrówce po nadziemskich światach, uczony autor przedstawia najświeższe odkrycia i rezultaty badań naukowych, przesuniemy się tylko po nich, bo niepodobna określić ich w tak treściwem sprawozdaniu i tylko zatrzymamy się nieco dłużej nad wnioskami i dowodzeniami jego co do możności zamieszkania planet systemu słonecznego.

(d. c. n.)

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część trzecia.

Bajaderki.

(Dalszy ciąg).

Na parę godzin przed wschodem słońca wszystko było przygotowanem i bezzwłocznie puściliśmy się w drogę.

Ośmiu tylko słoni przeznaczonych było do polowania. Dwóch innych niosło różne przedmioty przeznaczone do pożywienia i noclegu. Prócz tego każden z nas siedział na słoniu, a dwóch luźnych znajdowało się w naszej straży przybocznej, aby w każdym razie nie zostać bez obrony.

Na czele szedł stary słoń, noszący miano Mandjari perła; niósł on na swoim grzbiecie przewodnika, jakoteż Indyanina kierującego całem polowaniem. Mandjari był doświadczonego uzdolnienia w zamierzonej przez nas rozrywce, to też wszystkie słonie zostawały pod jego kierunkiem.

Nie będę opisywał przebieganych okolic. Wszędzie jedno i to samo bogactwo i niesłychany przepych natury. Lasy, powietrze, stawy i jeziora ożywione były mnóstwem właściwych mu mieszkańców, a kwiaty i owoce rozrzucone wszędzie w obfitości, usprawiedliwiały ową legendę, że wyspa Ceylan była rajem ziemskim.

Około godziny dziesiątej rano stanęliśmy w wiosce noszącej nazwisko Chetty-Bellati-Colom, a zamieszkałej po większej części przez kreoli będących potomkami Portugalczyków.

Była chwila w życiu tego narodu niepospolitej przewagi na morzach. Jedni z pierwszych zwiedzili ocean Indyjski i odkryli wiele wysp dawniej nieznanych.

W jednej z takich wycieczek dokonanych pod dowództwem Loreneo d'Almeida a uwieńczonej odkryciem wyspy Ceylan, kilkunastu marynarzy zabłąkawszy się w lesie, nie przybyło na termin oznaczony do odpłynięcia floty i zniewoleni byli zostać na wyspie. Nie namyślając się długo udali się do Kirti-Kissanga, jednego z miejscowych królów, prosząc go o wydzielenie im kobiet, ziemi i niewolników.

Prośba ich otrzymała przychylną odpowiedź, a w następstwie tego zbudowaną została osada, której krajowcy nadali Chetty-Bellati-Colom czyli miasto zamieszkałe przez kupców zagranicznych.

Potomstwo zrodzone z ojca europejczyka a matki Indyanki, jeżeli posiada majątek, to ma nadane miano kreoli, w przeciwnym razie służy mu pogardliwe miano metysów.

Nieszczęśliwa to ludność, bo zarówno pogardzona przez Europejczyków jak i przez krajowców, widzi się wszędzie odepchniętą z oznakami niedwuznacznej odrazy. Należy jednak wyznać szczerze, że po większej części przedstawia ona zbiór różnorodnych wad właściwych dwóm rasom.

Nazwiska kreoli są po większej części buńczuczne przypominające słynnych mężów przeszłości, ale niestety, na cóż się zda najpiękniejsza forma, jeżeli treść w niej zawarta jest ladajaka.

Żyjąc czas jakiś pomiędzy kreolami, miałem sposobność poznania w znacznej części ich wyobrażeń religijnych. Jest to prawdziwa mieszanina pojęć o Bogu chrześciańskim i Brahmie indyjskim.

Chrystus i Wischnou otoczeni są jednem uszanowaniem. Dostrzedz to można, szczególniej w czasie niebezpiecznej choroby, w której zarówno świątynie chrześciańskie jak i bramińskie odbierają podarunki równej wartości. Na szyjach dzieci zawieszają różne tajemnicze figurki poświęcane w pagodach. Znałem kreoli wysoko ukształconych, magistrów prawa, filozofii lub nauk ścisłych, którzy jednak nie potrafili z umysłów swych wykorzenić przesądów nabytych w młodych latach.

Posągi znajdujące się w świątyniach indyjskich zlewane są oliwą wyrobioną z orzechów kokosowych. Płyn spadający z ramion i nóg bożka zbieranym jest troskliwie przez wiernych i posługuje jako środek ochronny od wielu niebezpieczeństw. Otóż znałem jednego kreola, człowieka jak to mówią skończonego, bo odbył nauki uniwersyteckie w Madras, a który puszczając się w odleglejszą podróż nacierał całe ciało wzmiankowaną oliwą w tem przekonaniu, że go to uchroni od wszelkich niemiłych wypadków.

Dojeżdżając do wioski Chetty-Bellati-Colom, zawiązaną została pomiędzy oficerami angielskiemi szeroka rozprawa filologiczna dotycząca języka portugalskiego.

Jeden utrzymywał, że kreole mają mowę najczystszą, bo ta w odległym zakątku przechowaną była w stanie właściwym epoce Kamoensa. Drugi zaś dowodził przeciwnie, że mowa jaką się posługuje ludność mieszana, jest zbiorem różnorodnych wyrazów należących do rozmaitych języków.

Ostatecznie okazało się, że byli oni podobnymi do ślepego wyrokującego o barwach, bo żaden z nich nie znał języka portugalskiego, ale powtarzali zdania usłyszane od osób trzecich.

Po kilkogodzinnym wypoczynku byliśmy przygotowani puścić się w dalszą drogę, gdy niespodzianie od strony rzeki doszedł nas głos trąby i krzyki kilkunastu ludzi wołających: ingue va, ingue va!

Chodźcie tu, chodźcie tu!

Zaciekawieni skierowaliśmy się ku nim i niezadługo zobaczyliśmy ogromnego krokodyla złapanego na wędę, czyli na hak żelazny przyczepiony do łańcucha wyrobionego z tego samego metalu. Potwór czynił wszelkie możliwe usiłowania, aby wydobyć się z niespodzianego uwięzienia, ale nie mógł zła-

mać ani szczęki ani szpikulca, ani też zerwać łańcucha lub drzewa do którego węda była przywiązana.

Słonie zobaczywszy tyle nienawistnego im zwierza, chciały natychmiast rozpocząć walkę, ale ich zatrzymano na miejscu, z obawy aby dla braku doświadczenia, trąb sobie nie pokaleczyły.

Najstarszy z nich Mandjari, który już stoczył wiele zwycięzkich walk z krokodylami, otrzymał zlecenie zabicia potworu.

Słoń nie dał sobie powtarzać dwa razy rozkazu, i rzucił się odrazu w wodę, płynąc z trąbą wzniesioną ku górze.

Krokodyl znajdujący się nawet na zupełnej wolności, nie może walczyć ze słoniem, a cóż dopiero przyczepiony do łańcucha, w spiesznej więc ucieczce szukając ratunku, wyskoczył na ląd, ale słoń z zadziwiającą zwinnością i szybkością dognał go i kłami swemi zdruzgotał mu kość pacierzową i głowę.

Mieszkańcy przez wdzięczność dla zwycięzkiego słonia, złożyli mu ogromną ilość trzciny cukrowej i przyozdobili jego kły w wieńce kwiatów.

Straciliśmy najmniej godzinę czasu na zabicie krokodyla i wypadało pospieszyć, aby przybyć na miejsce oznaczone dla przepędzenia noclegu. Pomimo zdwojonego kroku dzień był na schyłku skoro przybyliśmy do osady zwanej Talawą, gdzie sir John kazał poczynić wcześnie przygotowania na nasze przyjęcie.

Talawa jest miejscem dosyć opuszczonem, służy ono jedynie za punkt zebrania myśliwych. Ma jednak pewną wagę dla rządu angielskiego bo każdorocznie przyjeżdża tu inżynier na dni kilka dla wymierzenia przyboru wody w jeziorze, po epoce wielkich deszczów. Po wskazaniu jej wysokości każdy z właścicieli okolicznych ma oznaczoną ilość wody, jaką może użyć dla użyźnienia plantacyi będących jego własnością.

Rolnictwo tutaj przy małym bardzo udziale ręki człowieka jest nadzwyczajnie rozwiniętem.

Zbierane tu są, często bez zasiewu, wszelkiego rodzaju rośliny, a ich owoce posługują już nietylko do zaspokojenia potrzeb mieszkańców, ale nadto są podstawą handlu wywozowego, prowadzonego na wielki rozmiar.

W Talawie oczekiwał nas już obiad przygotowany z całym przepychem właściwym Anglikom zostającym w podróży. Nie szczędzono ani Chateau Lafite ani szampana, to też po uczcie tak sir John, jakoteż oficerowie zaproszeni przez niego, zaniesieni byli jak dzieci do przeznaczonych im łóżek.

Ze wschodem słońca przybyli dojeżdżacze wysłani naprzód, przynosząc bardzo pomyślne nowiny, bo w odległości dwunastu mil angielskich, dostrzeżoną została mała gromadka słoni złożona z sześciu sztuk. Nie tracąc czasu pospieszyliśmy na jej spotkanie.

Po upływie kilku godzin wjechaliśmy w okolice prawdziwie dziewicze, bo z powodu bagien pokrytych pyszną roślinnością i nadzwyczajnie gęstą trzciną, są one wcale niezamieszkałe, ale jest to ojczyzna zwierząt i płazów najrozmaitszego rodzaju, tak że podróż po tej pustyni jest inaczej niepodobną jak tylko na grzbiecie słonia.

Szakale, owi czyściciele pól i lasów nadzwyczajnie tu czynni, zwietrzą padłą zwierzynę o wiele mil, to też spotykaliśmy często szkielety oczyszczone ich zębami.

Droga wiodąca po płaszczyźnie błotnistej była nadzwyczajnie mozolna i z prawdziwą radością powitaliśmy wzgórza ciągnące się przed nami, gdzie ziemia twarda dająca punkt podpory dla nóg naszych słoni, dozwalała przyspieszenie podróży.

Na półtory mili przed nami ciągnęły się obszerne lasy; zależało wiele na tem aby się dostać do nich jak najspieszniej, bo spóźniona pora dnia czyniła promienie słoneczne nadzwyczajnie dotkliwemi.

Na samem wybrzeżu lasu, spotkał nas jeden z dojeżdżaczy powiadamiając, że tuż w pobliżu nas znajdują się dwa ogromne słonie dzikie i jeden mały.

Byliśmy właśnie w tej chwili na szczycie wzgórza, tak że wzrok nasz panował nad całą płaszczyzną okoliczną, leżącą po lewej stronie lasu, gdzie spoczywały słonie w cieniu ogromnego banana.

Postanowiono że tylko Mandjari z czterema innemi słoniami początkowo należeć będzie do polowania, a inne miały zostać tuż przy kierującym wyprawą, aby w razie potrzeby przyjąć udział w walce. Dla wszelkiego bezpieczeństwa, postępując odpowiednio do rady udzielonej przez Indyan, weszliśmy w środek gęstych krzaków, tak że byliśmy zupełnie zakryci przed wzrokiem słoni dzikich, ale sami przez gałązki widzieliśmy je doskonale.

W polowaniach tego rodzaju, najbardziej zastanawia okoliczność, że słonie oswojone użyte do wyprawy postępują zupełnie samodzielnie. Człowiek musi być zupełnie oddalonym, bo gdyby go dostrzegły dzikie słonie, to natychmiast uciekłyby do lasu, gdzie wszelka pogoń byłaby bezużyteczna.

Jest także rzeczą konieczną, za pośrednictwem dojeżdżaczy zbadać dobrze okolice leśne, w obrębie przynajmniej pięćdziesięciu mil. Trzeba wiedzieć naprzód, z jaką ilością słoni będzie się miało do czynienia, gdyż napad musi być koniecznie dopełnionym z siłami przeważającemi, w razie bowiem przeciwnym, walka jest nieunikniona a porażka nieomylna.

Mandjari na czele czterech słoni schodził wolnym krokiem na dolinę stroną odwrotną tej jakąśmy weszli na wzgórza. Zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na dzikie słonie, ale szedł prosto ku strumieniowi przerzynającemu dolinę, jakby przybył jedynie dla ugaszenia pragnienia. Widocznie dla lepszego okazania że jego zamiary są zupełnie niewinne, zrywał od czasu do czasu z pewną niedbałością kwiaty i trawę wkładając je do ogromnej swej paszczy.

Słonie dzikie patrzyły ciekawie na przybyszów i w postawie ich nie można było dostrzedz najmniejszego niepokoju.

Obok dwóch słoni dzikich znajdował się młody słoń mający nie więcej nad pięć lub sześć lat wieku. Dostrzegłszy nieznajomych sobie pobratymców, pospieszył na ich spotkanie z oznakami wielkiego zadowolenia. Matka przywołała go dwa razy rykiem sobie właściwym, ale roztrzepaniec nie zwrócił na to uwagi, to też śledziła go bacznie wzrokiem, jakby w obawie, żeby jego uprzejmość nie napotkała złego przyjęcia. Obawa jednak była zupełnie zbyteczna, bo niedorostek przyjętym był jak najgrzeczniej przez starszych strzygących uszami i wydających jakieś mruki widocznie oznaki zadowolenia.

(*d. n*)

Przegląd literacki.

Słówko o skażeniu języka polskiego i o dziełku

Błędy nasze w mowie i w piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy. Zebrał Aleksander Walicki. Warszawa 1876.

(Dalszy ciąg).

Tak więc zaniedbawszy prawie zupełnie błędy dziennikarskie, zaledwie dotknąwszy w ogóle błędów języka literackiego, autor nie wytknął sobie wyraźnego zakresu i w sferze błędów ustnych klasy wykształconej i ludu. Niebawem wykażemy, że w rozbieranej książeczce bardzo mało nawet materyału, zaczerpniętego z mowy wykształconych klas tutejszego kraju. Najwybitniejsze miejsce zajmują u autora *prowincyonalizmy*, a mianowicie *prowincyonalizmy litewskie*, tak że krańcowy dodatek do tytułu książeczki *oraz prowincyonalizmy* w rzeczywistości powinien być jeśli nie wyłącznym, to głównym nadpisem broszurki. Wykażmy to cyframi. Na 295 błędnych (podług autora) form, wyrazów i wyrażeń, zawartych w książeczce, rachując i ważąc bardzo starannie i skrupulatnie, naliczyliśmy tylko 77 takich błędów, które nie są czysto litewskimi, lecz trafiają się w mowie klas wykształconych tutejszych (o tej szczupłej wiązance powiemy szczegółowo poniżej). Reszta — a więc prawie ³/₄ zawartości dziełka są to wyłącznie prowincyonalizmy litewskie. Zresztą, autor widocznie nie mógł zdecydować się i tutaj pomiędzy znaczeniem wyrazu *prowincyonalizm*, jako prowincyonalnej, lecz nienagannej, częstokroć owszem o bogactwie języka świadczącej *różnicy* i drugiem — znaczeniem prowincyonalnego *błędu*. Pomiędzy bowiem owymi 200 z górą litwinizmami znalazłem przeszło 40 takich, których żadną miarą za błędne poczytywać niemożna (np. odmienne nieco od tutaj używanych znaczenia wyrazów *arbuz*, *blazen*, *chory*, *kruk*, *marudzić*, *siarnik*, albo takie wyrazy jak *chróst*, *ciosek*, *hładysz*, *jelki*, *otawa*, *sekstern*, *śliżyki*, *wołoszka*, *żłukta* i t. p.) Oprócz tego, jest pewna ilość tych prowincyonalizmów litewskich (około 15), które stanowczo zasługują nawet na poszanowanie jako dawne szczeropolskie wyrazy lub pod niektórymi względami lepsze i dobitniejsze od używanych w Królewstwie (co względem niektórych z nich przyznaje sam autor) jak *ciąg*, *dążać się*, *krążać*, *krupa*, *kulsza*, *mogiłki*, *okrajec*, *pastka*, *świerzbieć*, *świren*, *wienik*, *wyprzódki* i t. p. Pozostałe (przeszło 150) są to już wprawdzie istotne błędy prowincyonalne litewskie, ale wyłącznie litewskie, ogólnego znaczenia nie mające. Wiele z nich nawet są to rzadkie i mało znane, zaściankowe lub sporadyczne wyrazy: tak np. mało kto z wykształconych używać będzie takich litwinizmów jak *charcz*, *szmorhać*, *hłuzdy* i t. p. Wyliczanie tych i podobnych prowincyonalizmów, równie jak i poprzedniej kategoryi, z uwydatnieniem różnic w znaczeniu od odpowiednich wyrazów mowy wykształconej, jest często ciekawem, ale wobec szczupłych rozmiarów książeczki i nieco szumnej zapowiedzi w przedmowie, zaściankowe osobliwości i rzadkie hybrydy językowe zajmują zbyt wiele miejsca, z uszczerbkiem rzeczy, mających znaczenie ogólniejsze. Ażeby już skończyć z tymi litwinizmami, dodam kilka uwag szczegółowych. Pod wyrazem *Figa* mówi autor że ten wyraz równie jak i gest (pokazywanie figi) uważa się na Litwie za wielką nieprzyzwoitość. Jest to trochę przesadnem, gdyż i na Litwie mówią: *pokazał mu figę*, *dostał figę*, *figa!* i t. d. bez wielkiej nieprzyzwoitości, zresztą dla samej tej uwagi (nie znajdujemy bowiem tam nic więcej) niewarto było o tym wyrazie mówić. To samo, i tylko to samo, mówi autor o wyrazie *kiepski*. Co do wyrazu *łańtuch* (znaczy to samo co *klepa*), najprawdopodobniej jest to *wańtuch*, do pakowania wełny używany, bo właśnie i wańtuchy nazywają się na Litwie łańtuchami. Pochodzi zaś jeden i drugi zapewne od niemieckiego *Leintuch* (*Wendluch?*). *Mozol* niezawodnie jest to ten sam wyraz co *mozol*. *Murzać* — to tylko przekręcone *morusać*. *Szmocie* prawdopodobnie pochodzi od *szmata*. *Wienik*, wbrew autorowi, powinno mieć jedno *n*, gdyż pochodzi od *wiać* (*wie-nik*, co i nnego np. *stron-nik*, *zakon-nik* i t. p., gdyż tu *n* jest

w źródłosłowie). O ile słyszałem, Litwini mówią też zawsze *wienik*, nie zaś *wiennik*. Co do *się*, przecie i Litwini używają niekiedy tego zaimka *przed* słowem np. *jak się masz?* a *hodować* używa się w języku literackim tylko *o zwierzętach* (*hodować dzieci* — litwinizm).

Teraz przystępuję do owych 77 błędnych wyrazów i wyrażeń — jedynej cząstki ogólniejszego charakteru, zawartej w pracy pana W. Tu muszę naprzód powiedzieć i o ogólnym układzie całej książeczki i o używanej przez autora metodzie wykazywania błędów i nieprawidłowości — a dla tego dopiero tutaj, że w tej mianowicie części wykazuje się najwybitniej wadliwość i niedostateczność tak układu, jak metody autora i tutaj są one najszkodliwsze. Cały materyał, zawarty w książeczce, autor ułożył w porządku alfabetycznym: i pojedyncze więc błędne wyrazy i błędy pisowni i akcentu, zarówno jak usterki przypadkowania, konjugacyi i błędy składni — wszystko to mieści się w jednym szeregu, w porządku głosek abecadła. Najłatwiejszy to zapewne sposób układu, ale bardzo dyletancki i lekki. Taki układ dobrym jest dla błędów leksykologicznych, ale do reszty powinien być zastosowany szemat naukowy: błędy przypadkowania, czasowania, stopniowania, błędny rząd przyimków i inne usterki składni, wreszcie błędy frazeologii i stylu — wszystko to powinno być uszeregowane oddzielnie i systematycznie. Szczupłość treści autora nie tłómaczy; niechby były działy choć najogólniejsze, ale nie chaotyczne *pêle mêle* w abecadłowym porządku. Szczególniej byłoby pożądanem, ażeby wszystkie rusycyzmy (a tych w książeczce p. W. ilość, stosunkowo. najznaczniejsza) zestawione były oddzielnie pod jedną rubryką. Zresztą, wymagają tego nietylko względy teoretyczne, naukowe, ale nawet i praktyczne. Ktoś np. nie wie, czy ma mówić *psowi* czy *psu* i chciałby dowiedzieć się, co o tem mówi pan W. Musi więc nietylko grzebać się w całym alfabetycznym spisie, ale nadto znajdzie tam tylko *chłopcowi* i *chłopowi*, a już sam powinien się domyśleć, że pod tymi wyrazami znajdzie żądane objaśnienie. Tak samo np. ktoś pragnący dowiedzieć się, jak zapatruje się autor na błędne formy *widziemy* i *słyszemy*, po przejrzeniu całego spisu, dobrze jeśli wpadnie na myśl, że coś o tych błędach może znaleść pod wymienionemi tam *ganiemy* albo *musiemy*: wszak wielu może sądzić, że te formy są wprawdzie błędne, ale *widziemy* i *słyszemy* — prawidłowe. Wszystkich wyrazów, w formie błędnej używanych, autor, oczywiście, pomieścić nie mógł, ale byłoby daleko łatwiej znaleść odpowiednie wskazówki pod rubryką np. „Błędy przypadkowania. Przypadek III l. pojed.“ lub „Błędy czasowania. Czas teraźn. w 1 os. l. mn.“ i t. p.

Co do metody zwalczania i prostowania błędów, takowa również mało jest naukową i wyczerpującą, jak i układ. Ażeby się jednak nie zdawało, że wymagamy od autora szerokich lingwistycznych wywodów, wskażemy na *trzy* jedyne ustępy, opracowane zupełnie zadawalniająco, a nawet gruntownie, a mianowicie *Imiona własne*, *Jak* i *ó* (pochylone). Gdyby wszystkie inne były do tych trzech podobne, nie mielibyśmy nic do zarzucenia.

Najczęściej jednak autor ślizga się niejako po wierzchu kwestyi, wojuje zręcznemi, ale niezbyt głębokiemi zestawieniami (jak np. porównanie błędnej formy *Danielewiczowska* z wyrażeniem „szklanka Ś-go Juliana“ na str. 14), czasem dowcipkuje (np. owo zupełnie niepotrzebne „pranie okien i podłogi“ (str. 68), a najwięcej nadużywa podobieństwa czyli analogii, która w gramatyce naukowo pojmowanej ma bardzo szczupłe zastosowanie, choć ogół sądzi przeciwnie. Tak np. przeciwko wymawianiu wyrazu *okólica* (z akcentem na 3-ej od końca zgłosce), które niesłusznie autor za błąd poczytuje, gdyż niemal wszyscy tak mówią, nie świadczy bynajmniej odmienne wymawianie wyrazów *dziewica*, *miednica* i innych podobnych, które autor przytacza, jako przeciwko akcentowi wyrazów *szczegółu*, *ogółu* i t. d. nie świadczy odmienny akcent podobnie zakończonych form, *bawołu* i t. d. (str. 60). Mówiąc nawiasem, autor powinien był umieścić oba te wyrazy *ogół* i *szczegół* w liczbie zatrzymujących wszędzie *ó* (pod *bóle*); wypadało przytem uczynić uwagę, że w tych wyrazach z dziwną konsekwencyą duch języka usiłował ochronić *ó* od przejścia w dalszych przyp. w *o* czyste, co nastąpiłoby pewnie, gdyby akcent był tu na zgłosce przedostatniej gdyż akcent utrwala i uwydatnia wszelkie brzmienia i nie sprzyja brzmieniom niewyraźnym, przejściowym jak *ó*. W tych więc dwóch wyrazach *ó* ocalało jedynie dzięki wyjątkowemu akcentowi (czego już nie mamy w innych podobnych wyrazach np. potwór, potworu).

Przechodzimy teraz do niektórych szczegółowych uwag o owej grupie 77 błędów ogólnych. Mówiąc o spójniku *a*, pan W. wspomina tylko ogólnikowo, że używa się on *w bardzo wielu względach i znaczeniach:* wypadało nadmienić, w jakich, właśnie w celu uchronienia od znanego rusycyzmu. Przy tem autor nie odróżnia spójników *lecz* i *ale* (pierwszy jest słabszy, drugi — silniejszy i właśnie *a* najczęściej używanem bywa błędnie zam. *ale*). O wyrazie *album*, choć gruntownie, rozprawia autor za długo. Przytaczając powagę *pierwszorzędnych* pisarzy, autor poprzestaje na czterech wyjątkach z dzieł jednego tylko Syrokomli, który, pod względem języka, jak wiadomo, bynajmniej za pierwszorzędnego uchodzić nie może (str. 4). Formy *dwoma* na rodzaj żeński (zamiast *dwiema*) bezwarunkowo potępiać nie można, gdyż powszechny niemal zwyczaj ją przyjął, a i w innych językach (np. w greckim) formy męzkie liczby podwójnej trafiają się niekiedy zamiast żeńskich (w samym przedimku *toin, tain).*

(d. n).

Wiadomości bieżące.

Pomimo widoku politycznego bardzo zachmurzonego, w Paryżu jednak na gwałt przyspasabiają się do przyszłorocznej powszechnej wystawy. Wydano już dwadzieścia pięć milionów franków, a mają jeszcze drugie tyle wydać jeżeli nie więcej. Będzie to w rzeczy samej coś nadzwyczajnego. Według prywatnej korespondencyi z której wiadomości te czerpiemy, oprócz Marsowego zajęto pod gmach wystawy całe wzgórza po za Sekwaną, most nawet będzie rozszerzony i z dwóch stron wspaniałą przybrany galeryą. — Dział etnograficzny ma być przedstawiony z wielkiem staraniem: wszystkie ludy przyślą próbki domów wieśniaczych jak nie mniej okazy historycznej architektury jeżli nie w całości to przynajmniej częściowo. Będzie między innemi, fronton pałaców Dożów weneckich, wieża opactwa Westmisterskiego, domy greckie, chińskie i japońskie, chaty z pod równika przystrojone piórami. Oprócz wystawy sam Paryż ciekawie się przedstawi tym co go od lat dziesięciu nie widzieli. — Poprzecina mnóstwo bulwarów nowych i pysznych ulic i pospieszają na gwałt z ich ukończeniem.

Miasto podwodne. Przed kilkunastu dniami łódź pewnego zamożnego Anglika zatonęła na jeziorze genewskiem, naprzeciw wsi Saint-Pregts, i dla odszukania walizy właściciela łodzi, dwóch nurków spuściło się na dno jeziora. Ludzie ci wróciwszy na ląd opowiadali, że znaleźli się w pośród mnóstwa gmachów, najwidoczniej zbudowanych ręką ludzką na dnie jeziora. Rzecz ta sprawiła wiele hałasu, tembardziej, że przypomniano sobie dawniejsze odkrycia mieszkań nawodnych, przedhistorycznych, w kilku innych miejscach Szwajcaryi. Rady municypalne w Morges i Saint-Pregts chcąc się przekonać naocznie o tym fakcie, udały się w łodzi na wskazane miejsce, gdzie rozlano znaczną ilość oleju na powierzchnię wody. Wiadomo, że cienka warstwa tłustego płynu rozlana na powierzchni wody, nadaje jej nadzwyczajną przezroczystość; jakoż osoby znajdujące się w łodzi, mogły najdoskonalej rozpoznać cały plan miasta rozciągającego się pod wodą. Ulice, place, rozdroża, gromady domów, tak dokładnie przedstawiały się, że można je było rysować. Pod kleistą pokrywą budynków przebija się czerwono ceglasta barwa, co pozwala przypuszczać, że budowle te wzniesione były przy pomocy sławnego czerwonego cementu, jakiego według starożytnych autorów używali przy budowie celtowie, cymbrowie i pierwotni gallowie, a który miał być twardszy niż cement rzymski. Miasto podwodne składa się mniej więcej z dwóchset budynków, kształt ma podłużny i zaczyna się naprzeciw Saint-Pregts a ciągnie się ku Morges. Prawie w środku widać dość znaczną próżnię, która zapewne stanowiła główny rynek miasta. W jednym końcu znajduje się szeroka czterokątna wieża, która od dawna już była znaną żeglarzom, bo podczas ciszy można było widzieć jej szczyt o jakie dziesięć metrów pod powierzchnią jeziora, ale sądzono zawsze że to jest skała. Rada kantonu Waadt zachwycona tem odkryciem, postanowiła jak zapewniają, wyznaczyć potrzebne fundusze, na urządzenie pewnego rodzaju tamy otaczającej do około podwodne miasto, tak, żeby po zbudowaniu jej można było wypompować wodę i osuszyć to miasto, spoczywające w swym mokrym grobowcu od setnych może wieków. Jak Herkulanum i Pompeję wydobyto z pod popiołów lawy, a Teby i Karnak z pod piasku, tak podwodne miasto wydobyte zostanie z jeziora i spodziewać się można, że znajdą się w niem nie mniej ciekawe zabytki starożytności, jak w tych, któreśmy wymienili.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, ćwiartka z opisem kroi i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Іюля (8 Августа) 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



N. 3. Wyszycie w kratach przestębnowanych do ryc. 2.

Opis do N. 31.

(Dokończenie).

N. 19. Czepeczek z denkiem w fałdy ułożonem.

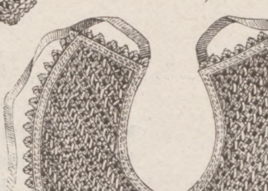
I tu podstawę czepeczka stanowi pasek sztywny tiulowy, z przodu w górnym brzegu z 7—8 małych fałdek założony i nieco tym sposobem zmniejszony. Skośne, owalne, denko muślinowe mające 54 cent. długości a 34 szerokości, układa się w 4-ry poprzeczne 3 cent. głębokie fałdy i przyczepia do foremki; fałdy z lewej strony są cienką nitką nieznacznie zfastrzygowane, ażeby się nieotwierały. Do garnirowania czepeczka służy falbanka muślinowa w drobne ząbki dziergana, 4 cent. szeroka, kórą się drobno plisuje, do twarzy w podłużne rozety układa i przystraja wstążką 4 cent. szeroką w dwóch cieniach.



N. 2. Napierśnik dziecinny, batystowy, próbka wyszycia na ryc. 3. Krój N. VI Fig. 21.



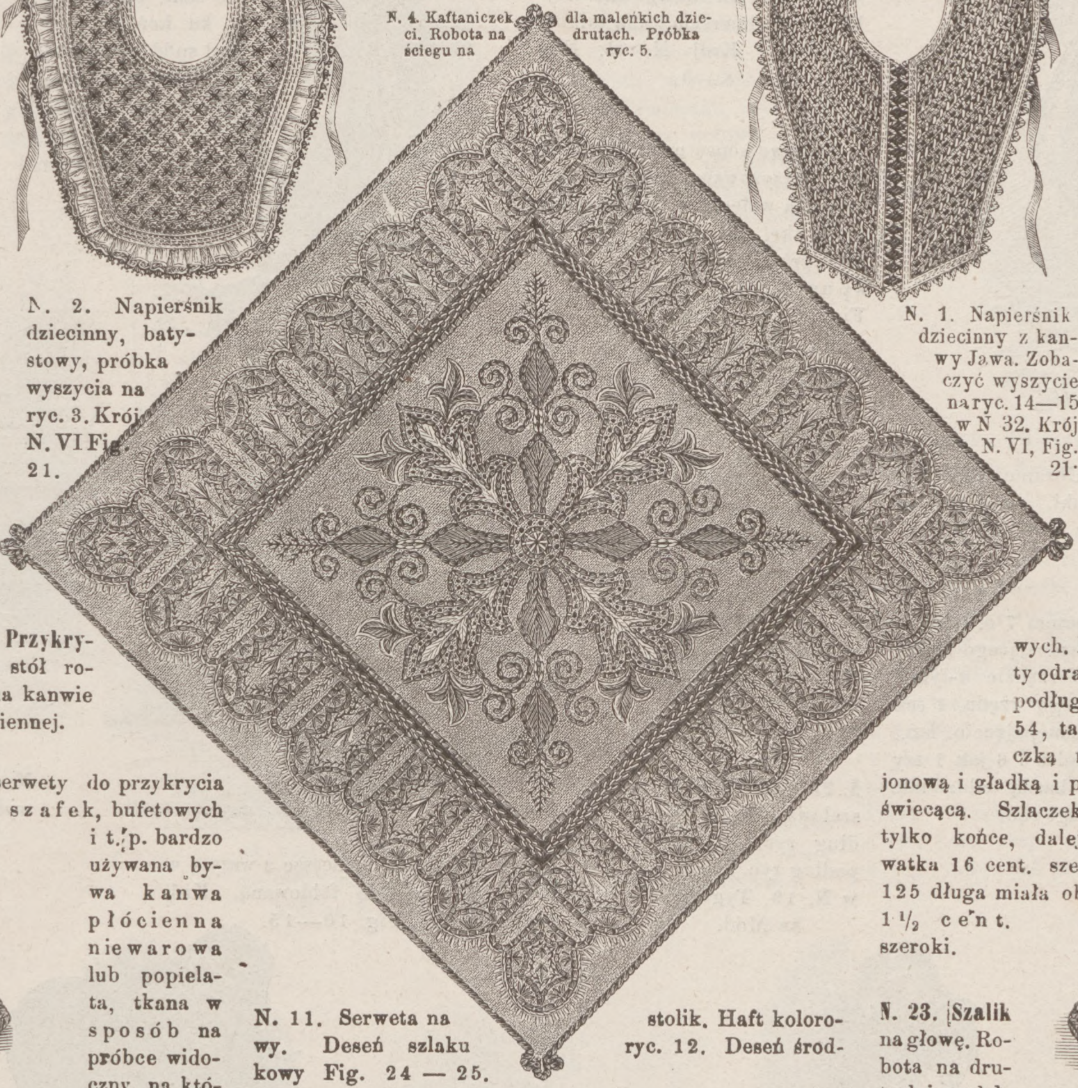
N. 4. Kaftaniczek dla maleńkich dzieci. Robota na drutach. Próbka ściegu na ryc. 5.



N. 1. Napierśnik dziecinny z kanwy Jawa. Zobaczyć wyszycie na ryc. 14—15 w N 32. Krój N. VI, Fig. 21.

N. 20. Przykrycie na stół robione na kanwie płóciennej.

Na serwety do przykrycia stołów, szafek, bufetowych i t. p. bardzo używana bywa kanwa płócienna niewarowa lub popielata, tkana w sposób na próbce widoczny, na której deseń odrabia się kolorową bawełną do prania. Krzyżyki nie pokrywają tła w zupełności, takowe przebijając przez kolor czarny, szafirowy i ponsowy, łagodzi ich barwy i miesza w harmonijną całość. Za wązkim szlaczkiem otaczającym serwetę dodaje się siepaną szeroką frendzlę, której nitki mogą być po 3—4 skręcone i zakończone supełkiem, albo wiązane na siatkowy nagłówek, albo nakoniec układane i przewiązywane, w sposób wskazany na ryc. 44—45 w N. 32 Tygodnika Mód.



N. 11. Serweta na stolik. Haft kolorowy. Deseń szlaku ryc. 12. Deseń środkowy Fig. 24—25.

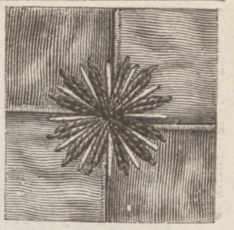


N. 6. Bucik dziecinny, robiony ściegiem tunetańskim. Próbka obłożenia na ryc. 8.

N. 21. Szal robiony na drutach.

Materyał: 40 gramów włóczki *mohairowej*, grube druty drewniane.

Ryc. 21 przedstawia mały szalik robiony z włóczki podwójnej mohairowej, na grubych drutach drewnianych, znanym powszechnie sposobem ażurowym, (jedno o. gubione 1-no przybierane) albo też ciągle gładko. Bez porównania piękniejszą otrzymamy robotę jeżeli złączemy 1-ną nitkę włóczki z nitką cienkiego jedwabiu. Szalik mający 25 cent. szerokości zaczyna się na o. 60; po skończeniu brzegi poprzeczne obrabia się szydełkiem, kordonkiem białym. Przy obrabianiu brzegów przyczepia się zarazem do każdej strony, 4-ry kwasty włóczkowe 14 cent. długie, przewiązane w górze kordonkiem na paciorku drewnianym, włóczką pokrytym. Stosownie do woli można powiększyć długość i szerokość szalika.



N. 10. Robota pleciona i haft do ryc. 9.

N. 22. Krawatka Robota koronkowa na tiulu. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 54—55.

Przez podłożenie kolorowej wstążki robota koronkowa na końcach staje się wybitniejsza i piękniejsza. Szlak zdobiący końce krawatki robiony był w jednym ciągu na tle tiulowym, podług Fig. 55, tasiemeczką gładką z dodaniem z brzegu fabrycznych pikotów koronkowych. Bukiety odrabia się podług Fig. 54, tasiemeczką medaljonową i gładką i przędzą świecącą. Szlaczek zdobi tylko końce, dalej krawatka 16 cent. szeroka a 125 długa miała obrąbek $1\frac{1}{2}$ cent. szeroki.

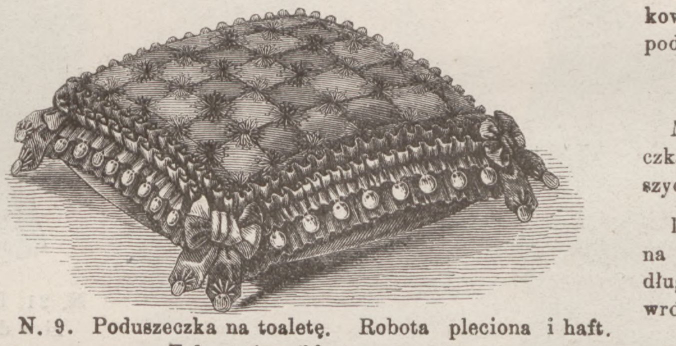


N. 7. Bucik dziecinny. Ścieg karbowany.

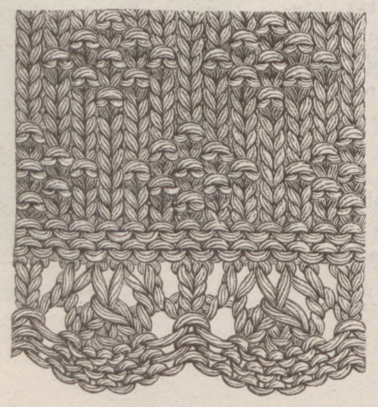
N. 23. Szalik na głowę. Robota na drutach i szydełkowa. Szlak podług ryc. 17.

Materyał: Włóczka mohairowa biała i niebieska, włóczka angielska niebieska, dwa cienkie druty drewniane, szydełko grube drewniane.

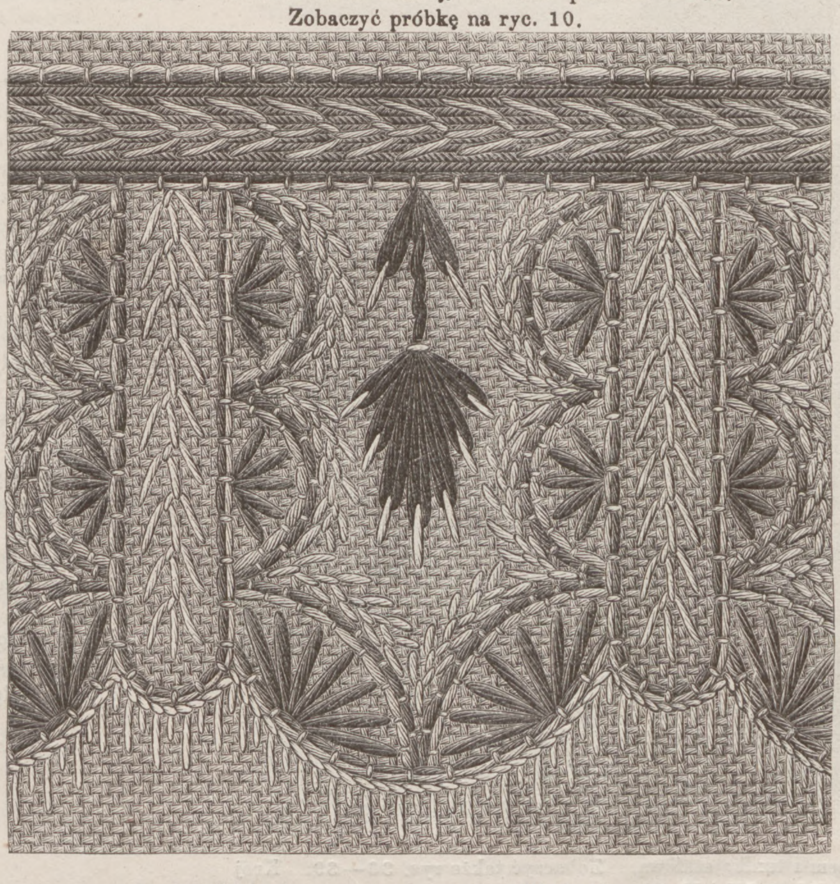
Delikatny i miękki szalik doskonale dający się układać na głowie, miał na modelu 62 cent. szerokości a 180 długości. Tło robi się poprzecznie gładko, tam i na powrót z włóczki podwójnej białej mohairowej, na o. 190; oczy bierze się od środka. Szlak robi się także z podwójnej włóczki niebieskiej szydełkiem. Najpierw obrabia się dwa razy w koło ząbkami z luźnych o. łańcuszka (5 o. przyrobionych 1 o. ścisłem), w trzeciem rzędzie bierze się * 1 o. ści. w środkowe o. ząbka, 7 o. łań., potem węzeł środkowy złożony z 8-ki otoczonej kołem: na takowy zarzuca się nitkę na szydełko i przeciąga bardzo luźną pentelkę przez środkowe o. następującego rzędu w ten sposób, jak do słupka, tak nabrawszy 9—11 nitek przerabia się dopiero razem jednem oczkiem, a dla umocnienia węzła robi się jeszcze 2 o. ścisłe



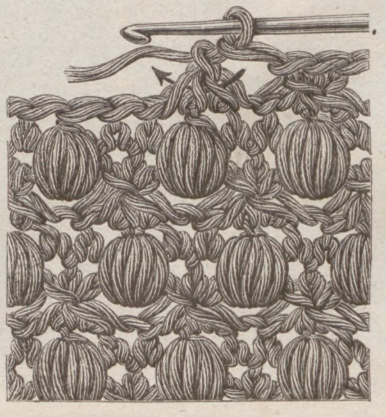
N. 9. Poduszeczka na toaletę. Robota pleciona i haft. Zobaczyć próbkę na ryc. 10.



N. 5. Próbka tła i szlaku do ryc. 4.



N. 12. Szlak do serwety, ryc. 11. Wielkość naturalna. Haft różno-kolorowy.



N. 8. Próbka obłożenia do bucika ryc. 6. Robota szydełkowa.



N. 13. Ubranie dla małego chłopczyka. Krój podług ryc. 36 w N. 28 Tyg. Mód.

N. 14. Ubranie dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 28 w N. 22 Tyg. Mód.

obejmujące w środku wszystkie nitki, potem 7 o. luźnych przyrobionych 1 o. ści. w środkowe następującego rzędu. Tak ciągle powtarzać od gwiazdki. W rzędzie 4-tym * 5 o. łań., 1 ścisłe w 6-te poprzedzającego rzędu, 1 ści. przez wszystkie nitki węzła, 1 ści. w następujące o. łań., 5 o. łań. Powtarzać od gwiazdki. Rząd 5 i 6 jak 1-szy i 2-gi. Nakoniec kulki odrabia się każdą oddzielnie z włóczki angielskiej i przyczepia co drugi ząb.

N. 24. Książka do rysowania szkiców, ozdobiona malowaniem. Wzór na arkuszu dodatkowym Fig. 56—57.

Na książce gotowej, w płótno szare oprawnej maluje się akwarelą wzór podany na Fig. 56—57.

N. 25. Bransoletka szyldkretowa.

N. 26. Mantyla chustkowa z trójkątnym kołnierzem, dla młodej panienki. Krój N. II, Fig. 8—9.

Szalowe końce mantylki mogą być zkrzyżowane z przodu a z tyłu na wcięciu w pasie zapięte na haftkę, albo z przodu w węzeł przerzucone i spuszczone. Na Fig. 8—9 cienką linią odznaczony jest brzeg kołnierza, któren kraje się podług formy mantyli.

Model odrobiony z czarnego kaszmiru, oszyty był frendzlą jedwabną, 7 cent. szeroką i riuszą ze wstążki repsowej $4\frac{1}{2}$ cent. szerokiej z której także były kokardy.

N. 27—28. Mantyla szalowa. Krój podług ryc. 26 albo podług ryc. 19 i 28 w N. 19 Tygodnika Mód.

Końce mantyli z czarnego indyjskiego kaszmiru, podszytej fularem, mogą być luźno puszczone z przodu, albo przerzucone w węzeł. Koronka przyszyta z tyłu u dołu mantyli ma 20 cent. szerokości a ku końcom jest pod spód wpuszczona i zwężona stopniowo do 6 cent., końce oszyte koronką, 6 cent. szeroką. Przy wykroju szyi i nad szeroką koronką przyszyta riusza koronkowa którą układa się z węższej koronki w sposób na ryc. 28 wskazany. Pierwszy rząd koronki ułożonej w kontrafałdy przyszywa się stojący w górę, drugi rząd pasuje się tak, ażeby płaskie strony fałd stykały się ze sobą, a następnie odwija do dołu i przyczepia nieznacznie do mantyli. Tym sposobem mamy riuszę sutą i pięknie ułożoną.



N. 19. Sukienka princesse z wszytą w bryty tylne częścią fałdowaną. Krój podług N. III, Fig. 10—15.



N. 17. Ubranie z vêtement formą princesse, wyciętem w kwadrat. Dla panienki lat 8—10. Krój podług N. III, Fig. 10—15.



N. 25—26. Ubranie z długim kirasowym stanikiem i tuniką szalową. Zobaczyć także ryc. 36—39. Krój spódnicy, stanika i tun" i N. IX i X, Fig. 41—49.



N. 21. Kapelusz ze słomki w dwóch kolorach.



N. 23—24. Ubranie dla niedorosłej panieki. Spódnica i Vêtement podpinane. Krój N. I, Fit. 1—7.



N. 18. Suknia princesse ze szmizetką i kołnierzem z klapkami. Zobaczyć plecy na ryc. 10 w N. 31. Krój podług N. III, Fig. 10—15.

Opis do N. 32.

N. 1—2. Dwa napierśniki dziecine. Krój N. VI, Fig. 21.

N. 1 i ryc. 14—15. w N. 31 Tygodnika. Napierśnik wyszyty na kanwie Jawa.

Na ryc. 14 i 15 w N. 31, podajemy w naturalnej wielkości dwie próbki wyszycia które odrabia się bawełną białą i ponsową lub niebieską, na kanwie do prania. Każdą połowę napierśnika trzeba oddzielnie odrysować skośnie na kanwie, następnie wyszyć podług jednej ze wskazanych próbek, nakoniec wykroić, bacząc pilnie ażeby skośne paski wyszycia zeszły się ze sobą jak na ryc. 1. Każdą połowę objąć w koło pliską skośną stębnowaną, oszyć ząbkami z tasiemeczki, (oprócz wykroju szyi), potem ząbki w środku napierśnika spoić tak, iż by tworzyły ażurową wstawkę, pod którą daje się pasek podszewki kolorowej, nakoniec przyszyć tasiemki do wiązania.

N. 2—3. Napierśnik batystowy.

Napierśnik kraje się w całości podług tej co i poprzedzający formy, zaokrągla cokolwiek u dołu, poddaje podszewkę z perkalu i watę $\frac{1}{2}$ fontową w środek, którą w ramiączku rozdziera się na połowę. Fastrzyguje się starannie brzegi, stębnuje w koło 3 razy w odstępie $\frac{1}{2}$ cent.; a cały środek pikuje w kratkę wskazaną na próbce ryc. 3. Nakoniec w każdej kratce wyszywa się bawełną ponsową szafirową do prania, gwiazdki, których ściegi niepowinny być przejmane aż do podszewki. Z brzegów napierśnik oszywa się sznureczkiem tego co gwiazdki koloru, i batystową falbanką oszytą koroneczką nicianą, wywodzoną kolorową bawełną.

N. 4—5. Kaftanik dziecinny robiony na drutach.

Materyał: włóczka biała angielska, druty cienkie drewniane.

Kaftaniczek dla maleńkich dzieci zaczyna się od dołu na o. 130 z włóczki angielskiej lub bawełny estramadura N. 6, lub 5, robi się luźno najpierw szlaczek podług próbki ryc. 20, która przedstawia w naturalnej wielkości szlaczek do rękawków.

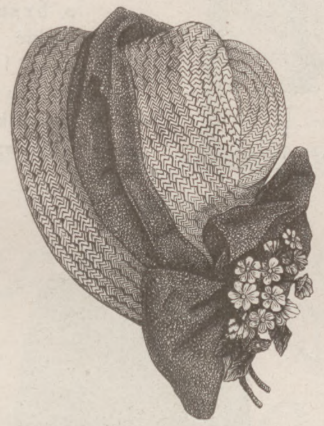
W 1-szym rzędzie początkowe o. zdjąć resztę kręto, w 2-gim 1 zdjąć resztę gładko, w 3-cim rzędzie 1 zdjąć 1 gł., 1 przy., * 1 gł., 1 zgubić od środka, 1 gł., 1 przy., powtarzać od gwiazdki. Rząd 4-ty pierwsze zdjąć resztę kręto. Rząd 5-ty 1 zd., 1 gł., 1 przy., * 1 glad., 1 zgu., 1 gł., 1-no przy.; powtarzać od gwiazdki. Rząd 6 jak 4-ty., 7-my jak piąty, rząd 8 i 9 jak 4-ty., w 10-tym



N. 20. Sukienka z naszyciem paltotowem. Zobaczyć przód i krój na ryc. 11 w N. 31.



N. 15—16. Fartuszek bluzkowy z rękawami dla dzieci lat 3—6. Krój N. V, Fig. 19—20.



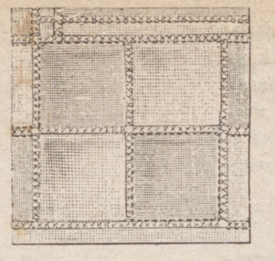
N. 22. Kapelusz ryżowy z główką w środku załamaną.

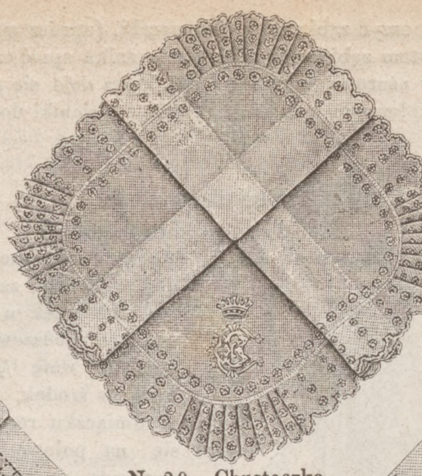


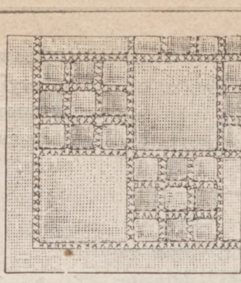
N. 27—28. Suknia princesse z tuniką szalową (Echarpe Almée. Krój sukni zobaczyć w N. 28 Tygodnika ryc. 20.

1-sze zdjąć, resztę gładko. Na tem szlaczek do rękawow się kończy, a do dołu kaftaniczka powtórzyć jeszcze wszystkie rzędy, a następnie robić tło wyraźnie na próbce wskazane. Po 36—38 obrobieniach, rozdzielić robo. na 3 druty, biorąc po 36 o. z brzegów na plecki, a 58 w środku na przód i obrabiając każdą część oddzielnie razy 37. Poczem od strony otworu pachy, spaja się z lewej strony oczy, na ramiączko 5—6 cent. długie; pozostałe oczy zakończa się na wykrój pod szyją, któren dla mocy obrabia się szydełkiem o. ści., daje słupki i dziurki do nawleczenia sznurka z kwastami, i zakończa

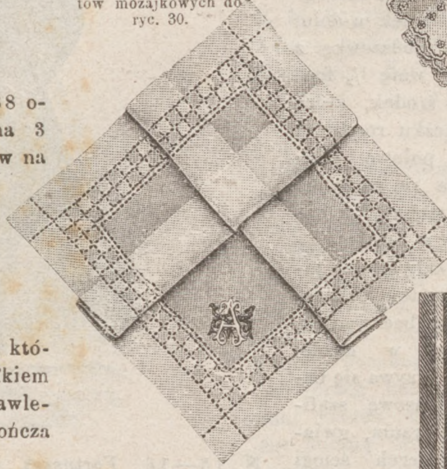

N. 45. Próbka roboty szydełkowej do guzika ryc. 43—44.

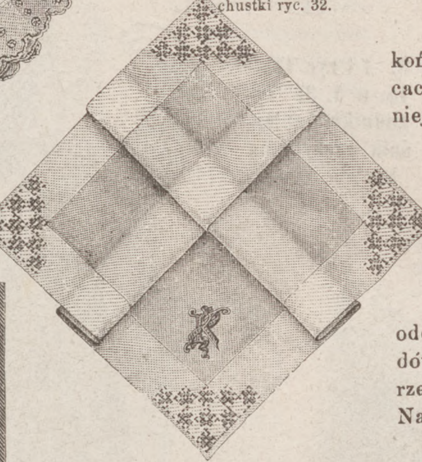

N. 31. Próbka kwadratów mozajkowych do ryc. 30.

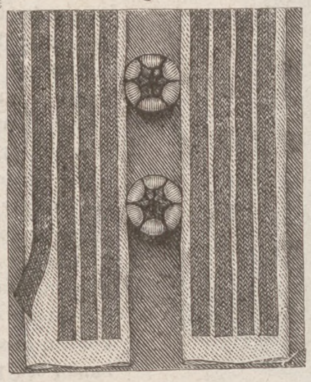

N. 29. Chusteczka z przydzierganym szlakiem. Deseń na Fig. 58.

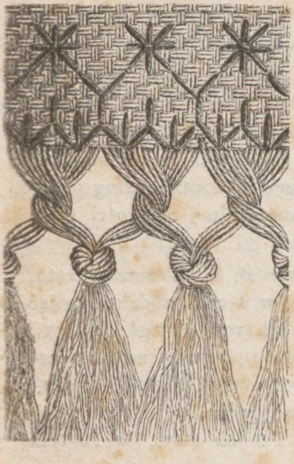

N. 33. Robota mozajkowa do narożnika chustki ryc. 32.

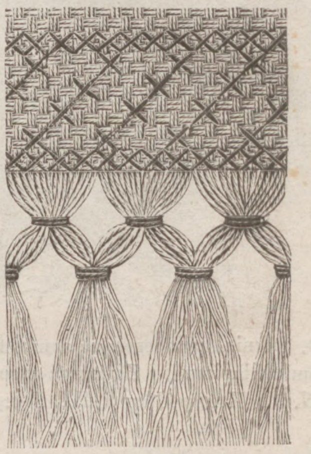

N. 46. Szlaczek szydełkowy do mitenki ryc. 16 w N. 31.


N. 30. Chustka ze szlakiem w kwadraty mozajkowe. Zobaczyć kwadraty naturalnej wielkości na ryc. 30.

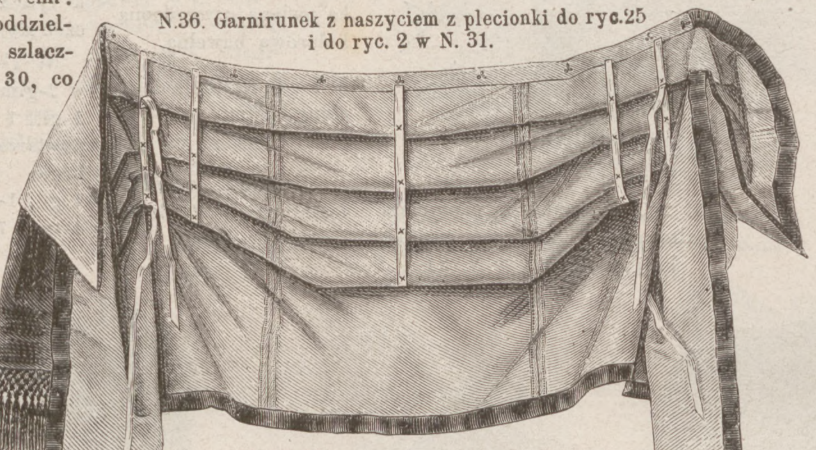

N. 32. Chusteczka z narożnikami z kwadratów mozajkowych. Zobaczyć kwadraty naturalnej wielkości na ryc. 33.


N.36. Garnirunek z naszyciem z plecionki do ryc. 25 i do ryc. 2 w N. 31.


N. 34. Frendzla siepana na kanwie Jawa, do serwet.


N. 35. Frendzla siepana w kanwie Jawa, do serwet itp.

piketami szydełkowemi. Rękawy robią się oddzielnie zaczynając od szlaczku dolnego na o. 30, co 6 obrobień przybiera się na początku i na końcu druta 1-no oko, a w ten sposób po 30 obrobieniach mieć będziemy ocz. 40, które obrabia się bez przybierania 14-cie razy. W sześciu następujących obrobieniach pozostawia się zawsze 5 o. końcowych na drucie nieprzerobionych, i tym sposobem otrzymuje się zaokrąglenie górne, które się zakończa. Rękaw z lewej strony się spaja i wszywa w otwór pachy.


N. 37. Wewnętrzne urzadzenie tuniki do ryc. 25—26. Krój N. IX, Fig. 48.

N. 6 i 8. Bucik dziecinny, robota szydełkowa ściegiem tunetańskim.

Podeszwę i cholewkę robi się oddziel; pierwszą zaczyna się od tyłu na o. 5, (z włóczki angielskiej w obranym kolorze), przybierając w 2-gim i 3-cim rzędzie po 1-szem i przed ostatniem jedno oko; 3 następujące rzędy robić bez przybierania, w 7-mym rzędzie zgubić po 1 oku na początku i końcu, 8-my gładko, w 9-tym przybrać 1 oko na początku i końcu ośm następujących rzędów równo. Potem zgubić 1-no na początku i końcu rzęda, raz obrobić bez gubienia, w następującym zgu. na początku i końcu, obrobić raz i zakończyć pięć pozostałych o. w palcach. Cholewkę zacząć od zwierzchniej części w palcach na o. 7, i przybierać w 10 następujących rzędach 2 o. po dwóch stronach oka środkowego; w 9 zaś i 11 rzędzie po brzegach zgubić po 1 oku. Poczem po każdej stronie zwierzchniej części, robić oddzielnie cholewkę na o. 12 sześć rzędów równo, w 7-mym przybrać w górze 1 oko, 3 końcowe rzędy równo. Nakoniec obie części cholewki spaja się z lewej strony z tyłu i przyszywa piętę, a górne obłożenie robi się w koło podług próbki 8. ryc. W 1-szym obrobieniu *1 -no o. powietrzne przeciągnąć nitkę przez o. brzeżne, zrobić 2 o. pow. i przeciągnąć obiedwie znajdujące się na szydełku pentelki razem. Powtórzyć od gwiazdki razy 16. Przez to obrobienie przewlec sznureczek szydełkowy i zakończyć go kuleczkami włóczkowemi. Dalsza robota składa się z dwóch naprzemian powtarzających się rzędów; w 1-szym przeciąga się w sposób na próbce (ryc. 8) wskazany, 3 pentelki pod 3 oczy poprzedzającego obrobienia, zrabia wszystkie trzy razem, a otrzymane o. znów zrabia się razem ze znajdującem się na szydełku; poczem w sposób wskazany strzałką na ryc. 8, przerabia się jeszcze 2 ściśle o. w trzy pentelki poprzedzającego węzła.

(dok. nast.)


N. 43. Guzik pokryty robotą szydełkową. Spód. Zobaczyć ryc. 44—45.


N. 44. Guzik pokryty robotą szydełkową. Zwierzchnia strona. Zobaczyć ryc. 43 i 45.


N. 39. Rękaw z mankietem z wyłożonemi klapkami, do sukni ryc. 25.


N. 40. Ubranie z paltocikiem bez rękawów. Zobaczyć przód na ryc. 2 w N. 31. Krój paltocika N. XI, Fig. 50—52.


N. 38. Spódnica do sukni ryc. 25—26. Krój. N. X, Fig. 49.


N. 42. Ubranie strojne. Vêtement z dodanemi częściami kaftanikowemi i draperyą na spódnicy. Zobaczyć przód na ryc. 3 w N. 31. Krój N. VII, Fig. 26—33.


N. 51. Rękaw do sukni kretonowej. Krój mankieta N. XII, Fig. 53.

N. VII. Vêtement z częściami paltocikowemi i draperyą na spódnicy. Ryc. 8 w N. 31 i 52 w N. 32 Tygodnika.

Miara połowy górnej objętości stanika 48, w pasie 33 cent.

Fig. 26. Pierwsza część przodu z oznaczeniem ranwersu do kołnierza (A, B, . 1 ╳ 1). 〰〰〰
Fig. 27. Druga część przodu (paltocikowa) (A, B, C, D, G, H, L). — . —
Fig. 28. Boczek (C, D, E, F, :). • — • —
Fig. 29. Plecy (E, F, G, H *). ○ = ○ =
Fig. 26-a—29-a. Zmniejszony rysunek części vêtement.
Fig. 30. Zmniejszony rysunek i miary dolnej części przodu do vêtement (I, K, -+-).
Fig. 31. Zmniejszony rysunek i miary brytów tylnych do vêtement (F, K, * , -+-) *a* bryt pierwszy, *b* połowa drugiego bryta.
Fig. 32. Rękaw (L, M, N, O, . 2 do ╳ 2).
Fig. 33. Mankiet (M, O). + + + + +

N. VIII. Kaftanik dla dziewczynki lat 3—5, ryc. 12—13 w N. 31.

Fig. 34. Przód (P, Q, T, U, V, . -+-). — • —
Fig. 35. Boczek (P. Q, R, S, -+-). ⊢⊣ ⊢⊣
Fig. 36. Plecy (R, S, T, U, Z).
Fig. 37. Rękaw (V, W, X, Y).
Fig. 38. Mankiet (W, : , *).
Fig. 39. Połowa kołnierza (Z, .) ○ ○ ○ ○
Fig. 40. Połowa kieszeni z wyłożeniem (-+-) ◡◠◡◠◡

N. IX. Długi stanik kirasowy i tunika szalowa do ryc. 25, 26, 47 i 49 w N. 32 Tygodnika.

Miara połowy górnej objętości stanika 53, w pasie 36 cent.

Fig. 41. Pierwsza część przodu (a, b, i). = × = × =
Fig. 42. Druga część przodu (a, b, c, d, k, l). ——
Fig. 43. Boczek (c, d, e, f) — × — × —
Fig. 44. Pierwsza częsc pleców (e, f, g, h, k). * — * — *
Fig. 45. Druga część pleców (g, h, i).
Fig. 41-a—45-a. Zmniejszony rysunek Fig. 41—45.
Fig. 46. Rękaw (l, m, n, o, p). ⤫ ⤫ ⤫
Fig. 47. Połowa mankieta (p). * * * *
Fig. 48. Zmniejszony rysunek i miary tuniki.

N. X. Spódnica do sukni z oddzielnie przyszytą częścią trénu.

Fig. 49. Zmniejszony rysunek brytów spódnicy, *a* połowa przedniego bryta, *b* klin pierwszy, *c* klin drugi, *d* połowa tylnego bryta, *e* część rozszerzająca tren u dołu.

N. XI. Kaftanik bez rękawów do ryc. 2 w N. 31 i do ryc. 50 w N. 32 Tygodnika mód.

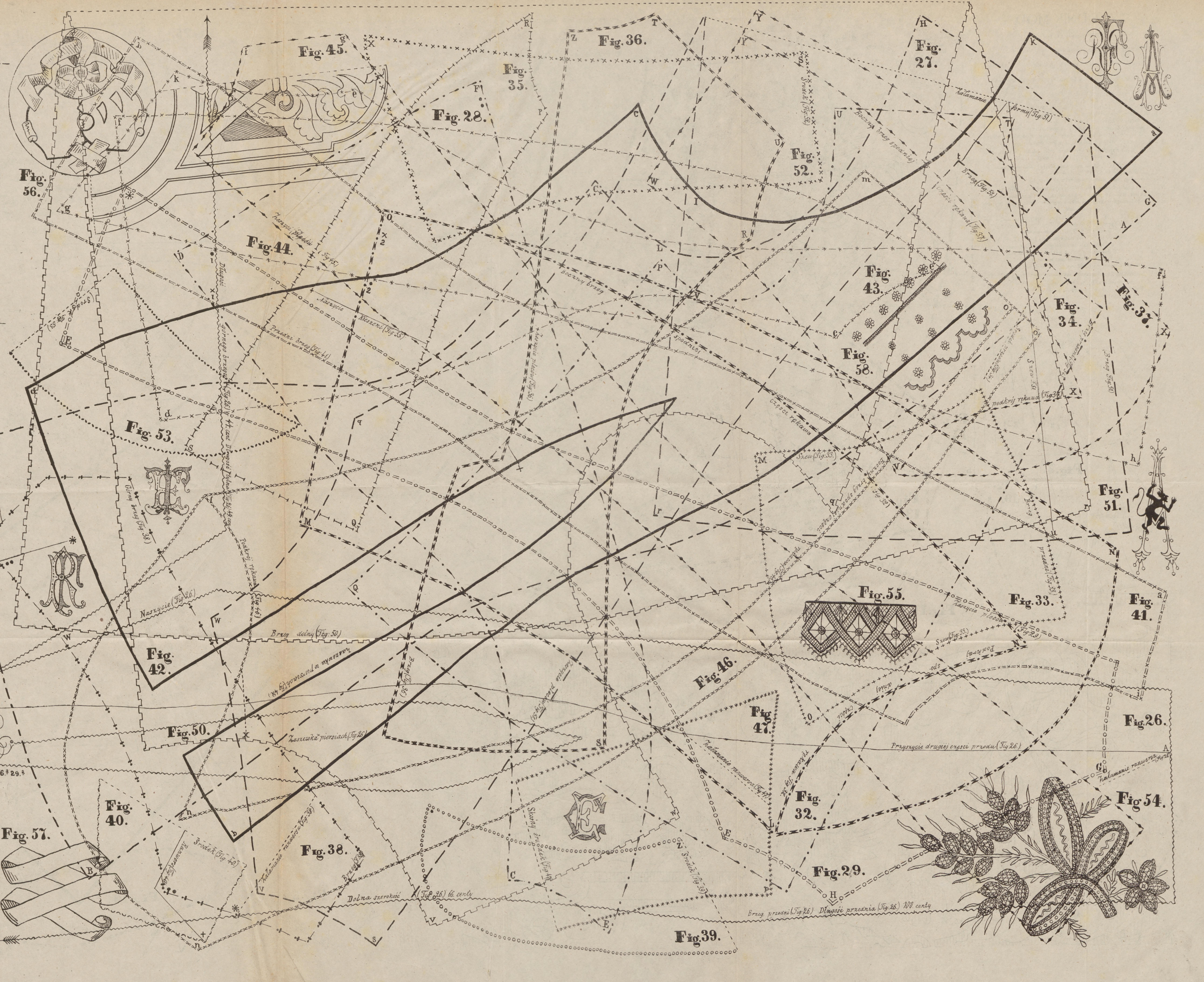
Fig. 50. Przód kaftanika (q, r, v, w, x, 1-no załamanie formy).
Fig. 51. Plecy (q, r, s, t, u, v, w 1-no załamanie formy). — — —
Fig. 52. Kołnierz (s, t). × • × • × • ×
Fig. 50-a—52. Zmniejszony rysunek kaftanika.

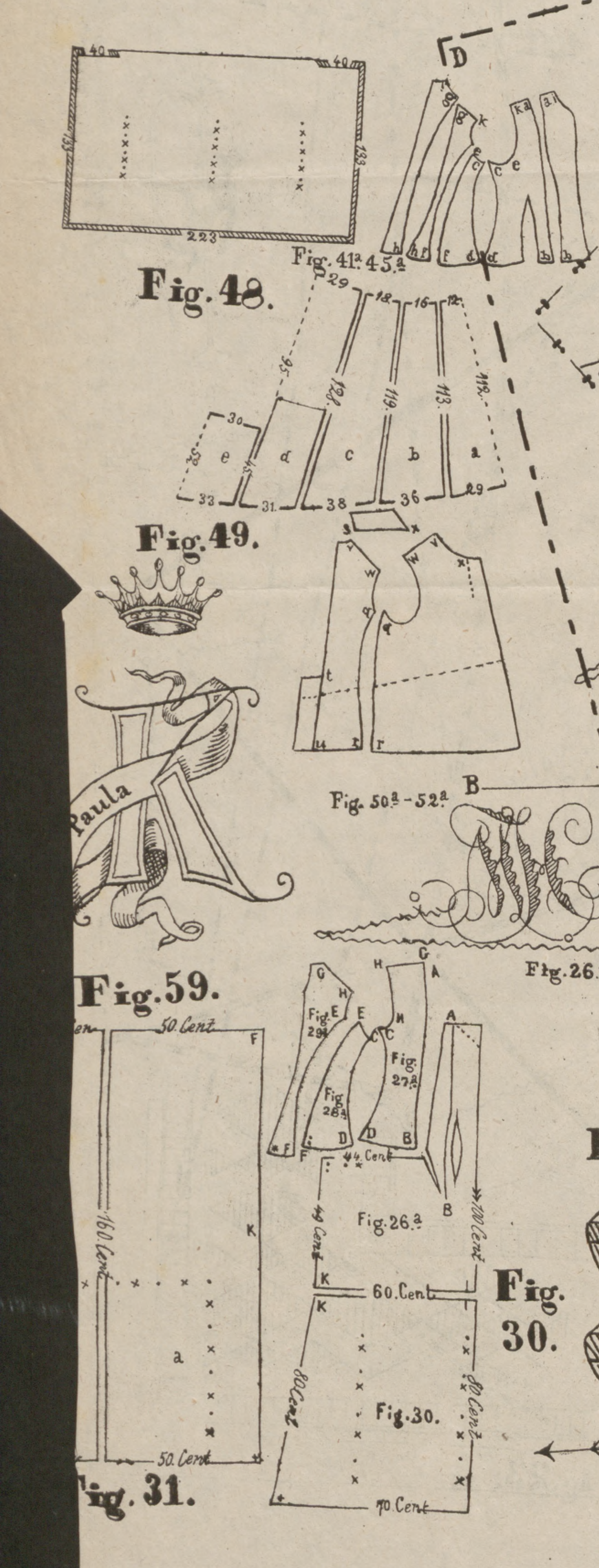
N. XII. Mankiet do rękawa ryc. 51 w N. 32.

Fig. 53. Połowa mankieta.

Desenie.

Fig. 54. Bukiet na koniec do krawatki, ryc. 22 w N. 31.
Fig. 55. Szlaczek brzeżny do ryc. 22 w N. 31 Tygodnika.
Fig. 56. Czwarta część wzoru do środkowego malowidła na zwierzchnią stronę książki do szkiców rysunkowych, ryc. 24 w N. 31.
Fig. 57. Wzór do malowania na spodniej stronie książki ryc. 24 w N. 31.
Fig. 58. Deseń do haftu na chusteczce batystowej. Ryc. 29 w N. 32.
Fig. 59. Znak do haftu na chusteczce batystowej. Ryc. 32 w N. 32.





TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. I. Ubranie dla niedorosłej panienki. (Spódnica i vêtement podpinane.

Miara połowy górnej objętości stanika 44, w pasie 30 cent.

Fig. 1. Przód i boczek (A. B, C, E, F, G, M).
Fig. 2. Pierwsza część pleców (C, D, T). ×= ×= ×= ×
Fig. 3. Druga część pleców (D, E, . 1 X 1 do 2 X 2).
Fig. 4. Rękaw (G, H, I, K, : , *).
Fig. 5. Połowa mankieta (H, : , *).
Fig. 6. Kołnierz (L, M). × • × • × • × •
Fig. 1-a—6-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy.
Fig. 7. Zmniejszony rysunek i miary brytów spódnicy, *a* połowa przodu, *b* pierwszy klin, *c* drugi klin, *d* połowa bryta tylnego.

N. II. Mantyla z trójkątnym kołnierzem, dla młodej panienki, ryc. 26 w N. 31 Tygodnika mód.

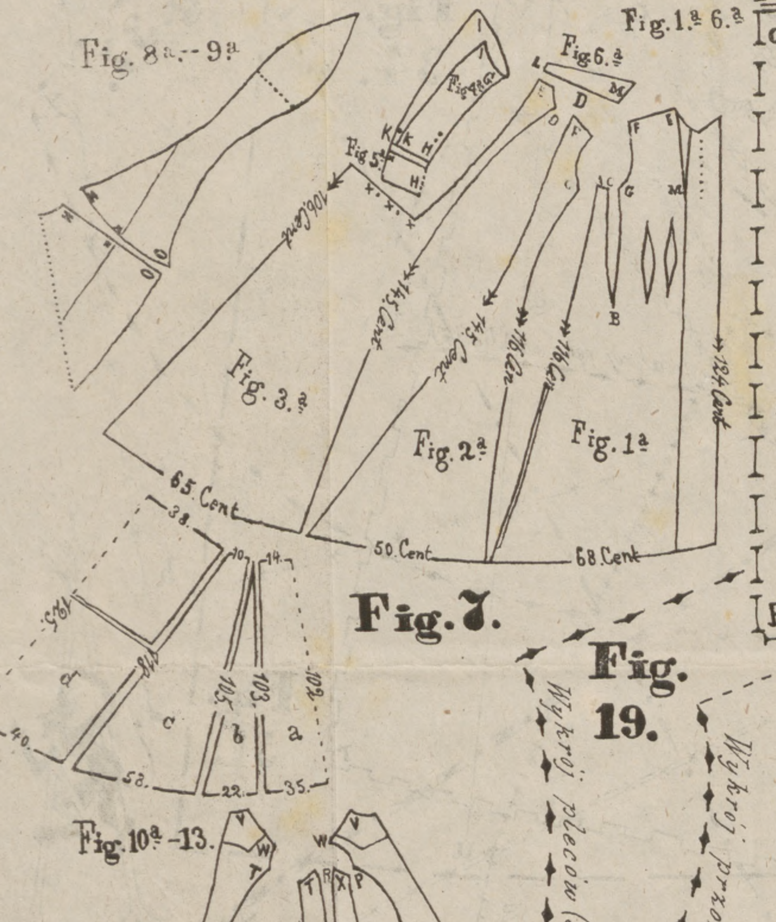
Fig. 8 Przód (N, O, *, 1-no załamanie formy).
Fig. 9. Połowa pleców (N, O, *). *— *— *—
Fig. 8-a—Fig. 9-a. Zmniejszony rysunek mantyli.

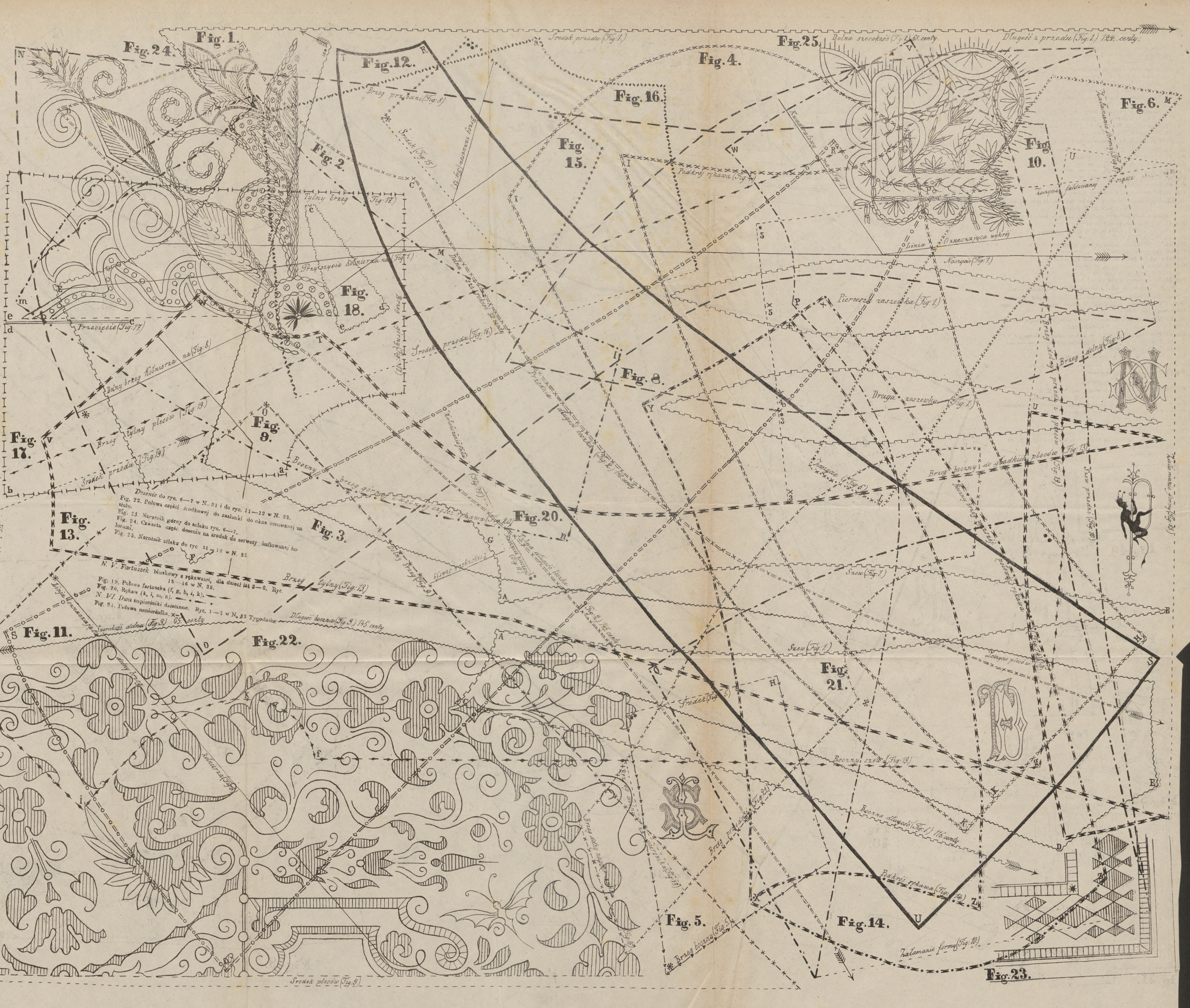
N. III. Suknia princesse dla dziewczynki lat 6—9. Ryc. 10—11 w N. 31 i ryc. 17—20 w N. 32 Tygodnika. Forma podana z odznaczeniem odmiennego wykroju stanika i części fałdowanej przy brytach tylnych.

Fig. 10. Przód (P, Q, V, W, 1-no załamanie formy).
Fig. 11. Boczek do przodu (P, Q, R, S, X, *, :). =o=o=o
Fig. 12. Boczek do pleców (R, S, T, U).
Fig. 13. Plecy z dodaniem u dołu materyału na fałdy (T, U, V, W, . 3 X 3 do . 5 X 5, jedno załamanie formy).
Fig. 10-a—13-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części vêtement.
Fig. 14. Rękaw (X, Y, Z, +).
Fig. 15. Połowa kieszeni z wyłożeniem (: , *). +++++

N. IV Gorsecik dla dziewczynki lat 3—6. Ryc. 8—9 w N. 31.

Fig. 16. Połowa przodu (a, b).
Fig. 17. Plecy (a, b, c, d, e).
Fig. 18. Klin (c, d, e).





Desenie do ryc. 6—7 w N. 31 i do ryc. 11—12 w N. 32.
Fig. 22. Połowa części środkowej do zasłonki do okna cerowanej na tiulu.
Fig. 23. Narożnik górny do szlaku ryc. 6—7.
Fig. 24. Czwarta część deseniu na środek do serwety haftowanej kolorami.
Fig. 25. Narożnik szlaku do ryc 11—12 w N. 32.

N. V. Fartuszek bluzkowy z rękawami, dla dzieci lat 3—6. Ryc. 15—16 w N. 32.

Fig. 19. Połowa fartuszka (f, g, h, i, k).
Fig. 20. Rękaw (k, l, m, n).

N. VI. Dwa napierśniki dziecinne. Ryc. 1—2 w N. 32 Tygodnika.

Fig. 21. Połowa napierśnika. ×—

